

Świat MŁODYCH

Nr 8 (14), 16 - 23 KWIECIEŃ 1947

Cena 20 zł



FOTO JARACZEWSKI.



PRZED POBOREM

Rozpoczyna się pobór do wojska. Na ulicach miast coraz częściej spotkać można młodych mężczyzn z tobołkami i kufkami w rękę. To poborowi. Idą zwykle niewielkimi grupkami, z zainteresowaniem rozglądając się wśród nowego otoczenia.

— Pójdziemy prosto przed siebie, obejrzemy miasto, a potem tramwajami będziemy dobijać się do dworca — mówi na Placu Zbawiciela ubrany w czarne, odświętne ubranie chłopak, w którym na pierwszy rzut oka poznać rekruta.

— Nie — protestuje drugi — wróćmy lepiej, pojedziemy nad Wisłę, zobaczymy jak wygląda ten most...

Warszawski tramwaj, czuły rezonator wszelkich stołecznych zdarzeń, już w pierwszym dniu pojawienia się w mieście poborowych, notuje ten wypadek po swojemu. Powstaje mianowicie kwestia: Czy poborowi, których cała paka jedzie na tyłim pomoście, mają płacić za bilety, czy nie? Poborowi płacić nie chcą, konduktor jest niezdecydowany, sympatia idących jest po stronie chłopców. W końcu przychodzi kontroler, macha ręką. Przepisy nie mówią wprawdzie nic o poborowych, ale skoro już wsiedli...

Minione lata wojny wytworzyły między żołnierzem i narodem serdeczną, życzliwą więź, jakiej próżno było by szukać przed rokiem 1939. Faszyzujące prądy, które pod wpływem „doborowego” korpusu oficerskiego nurtowały wojsko w okresie przedwojennym, odsunęły je od mas ludowych Polski, uczyniły elementem obcym i wrogim. Służba w wojsku oznaczała wówczas coś w rodzaju „dopustu bożego”, była przymusowym podatkiem, który spłacić musiał każdy, choć sam nie wiedział dobrze, za co.

Wojna 1939 — 45 stała się dla Polski, a więc i dla polskiej armii, przełomem. W popiołach wrześniowej klęski, w ogniu bitew pod Lenino, Kolobrzegiem, nad Nysą i w gruzach Berlina — słowo „armia” oczyściło się, stało się piękne i bliskie. Pierwszy podmuch wojennej grozy wymiótł z wojska sanacyjny nałot, ową elitę oficerów, którzy wprawdzie umieli walczyć bohatercko o marsz na Zaolzie, ale w obliczu prawdziwej potrzeby nie umieli nawet zachować pozorów. Ich broń porzucą bezładnie na szosach w śpiesznej ucieczce z kraju klęski, podjęli inni ludzie, ci, których słowa „ojczyzna” uczyła bieda, głód, ciężka praca, często prześladowania i więzienie.

Tak powstało Odrodzone Wojsko Polskie. Walczyło o wolność i prawa ludu — dlatego dowodzili nim i dowodzą ludzie, którzy z ludu wyszli. Tysiące młodzieży robotniczej i chłopskiej otrzymały oficerski stopień. Masy ludowe i armia zjednoczyły się. Osiągnięcie tej jedności — to jedna z największych zdobyczy demokracji.

Nie jesteśmy krajem bogatym. Nasz budżet wojskowy jest niższy niż przed wojną. Ale nasze wojsko otoczone jest przez naród troską i miłością. Z pełnym zaufaniem oddajemy w jego szeregach nasze młode pokolenie — poborowych.

A. U.





TYDZIEŃ ZIEM ZACHODNICH

Między 13-tym a 20-tym kwietnia b. r., w drugą rocznicę przekroczenia Nysy Łużyckiej i Odry przez wojska polskie, obchodzimy święto naszej dwuletniej pracy na Ziemiach Odzyskanych. Tydzień Ziemi Zachodnich, organizowany pod hasłem: „Ziemia Zachodnie — bezpieczeństwo i dobrobyt Polski — pokój świata” — jest potężną manifestacją naszej odbudowy gospodarczej, jest zarazem jeszcze jednym dowodem naszych praw do Wybrzeża, Pomorza i Śląska. Tereny te należą do nas na zasadzie historycznej sprawiedliwości. Należą do nas, bo zdobyte zostały przez polskiego żołnierza. A przede wszystkim należą do nas — bo odzyskałyśmy je w pełni pracy i potem polskiego człowieka.

Gdy w połowie 1945 r. na Ziemię Zachodnie przybyła polska administracja były one w znacznym stopniu wydłubione, ze zniszczonymi miastami i wsiami, z zamarytymi fabrykami i gospodarstwami,

bez bydła i koni, z nieczynną komunikacją.

W ciągu dwóch lat osiedlono na Zachodzie ponad 4 miliony Polaków, obsiano i zebrane urodzaj z kilku milionów ha ziemi, odbudowano i uruchomiono fabryki, kopalnie i szkoły. W okresie Planu Trzyletniego przewiduje się dalszy rozwój Ziemi Zachodnich. Ich bogactwa muszą zostać wykorzystane w pełni, by podnieść poziom życiowy najszerzych warstw narodu. Za trzy lata na Śląsku, Pomorzu i Mazurach nie może być ani jednej nieczynnej fabryki, ani jednego leżącego odłogiem hektara ziemi.

Hasło naczelne Tygodnia Ziemi Odzyskanych ma swoją głęboką wymowę. Wyraża ono, czym te ziemie są dla nas, w lapidarnej formie mówi o ich olbrzymim znaczeniu.

Przez opanowanie Ziemi Zachodnich, granica Polski z Niemcami skracca się pięciokrotnie, uzyskujemy 500-kilometrowy

dostęp do morza, odbieramy Niemcom 1/5 przemysłu zbrojeniowego.

„Dzięki Ziemiom Zachodnim produkujemy już dziś więcej parowozów, wagonów, węgla, koksu — niż przed wojną. Dzięki Ziemiom Zachodnim w dwójnasób wzrosła siła przemysłowa Polski.

Ziemia Zachodnie dadzą pracę i możliwość osiągnięcia dobrobytu wszystkim tym, którzy w innych okolicach Polski nie znajdują odpowiednich warunków życiowych. Zlikwidowane zostanie przedłużenie wsi województw centralnych, zaangażowana na zawsze groza bezrobocia.

„Szansa historyczna powrotu Polski na Ziemię Zachodnie pojawiła się tylko raz na przestrzeni wieków” — powiedział Minister Ziemi Odzyskanych, Gomułka. Szansę tę wykorzystaliśmy. Mur milionów Polaków, osiadłych nad Odrą i Nysą, pracujących w roli, w fabrykach, kopalniach i hutach, utrwalił naszą granicę na Zachodzie.

W ROCZNICĘ INSUREKCJI Z PAMIĘTNIKÓW JANA KILIŃSKIEGO

my pospólstwo zdecydowane jesteśmy arsenału i naszych żołnierzy wszystkimi sposobami do szczytu bronić. A zatem: niosąc moją prośbę do W.Pana Dobrego, abym mi powiedział, czy już jesteście uwiadomieni, czy też nie, — ponieważ my z garnizonem będącym w Warszawie jesteśmy w porozumieniu, a tylko nam jeszcze W. P. Dobrodzieja braknie, abyście stanęli w obronie naszego arsenału, bo jeszcze nie mamy z panami żadnego porozumienia, a już dnia jutrzejszego jest dzieła na to umyślnie determninowany u moskali na nas. Zaczem, ja, Inteniem obywatelskim upraszam W.Panów abyście nam stanęli do pomocy na odporcie nieprzyjaciół naszych, abyśmy tak wielkiej hańby nie podpadali

w Europie, abyśmy ten klejnot drogi utracić nie mieli.

Więc ten porucznik od ulanów królewskich, gdy to odemnie usłyszał, tak najprzód mnie zapytał: co ja za jeden, aby wiedział jak ze mną ma mówić — i gdzie ja mieszkać?

Ja mu odpowiedziałem, że jestem mteaszczanin i że mieszkam w Rynku. — Powtórnie pytał jak się ja nazywam — odpowiedziałem mu, że się nazywam Ignacy Zabłocki — lubo to jak jedno, tak drugie nieprawdę jemu powiedziałem, bom mieszkał na Dunaju, a przezwisko moje nie Zabłocki ale Kiliński Jan. Zmienilem nazwisko, bojąc się aby mnie nie wydał, — ale gdy mi to powiedział — tak zaraz podał mi rękę za znak, że tego

Jednym z najciekawszych dokumentów historycznych, dotyczących krwawych dzieł roku 1794-go — powstania Kościuszkowskiego — są pamiętniki Jana Kilińskiego, twórcy i przywódcy powstania w Warszawie. Pamiętnik ten napisał Jan Kiliński w twierdzy Petropawłowskiej, z porady J. U. Niemcewicza, współtowarzysza niedoli, któremu ofiarował rękopis.

Następnie rękopis znalazł się u Joachima Lelewela, który go udzielił K. W. Wójcickiemu. Ten wydał rękopis w książce w r. 1831. II wydanie Pamiętników Kilińskiego ukazało się w Warszawie w r. 1907.

Poniżej zamieszczamy dwa fragmenty Pamiętników: jeden — dotyczący przygotowań, a drugi — wybuchu powstania.

...Przy pożegnaniu z oficerami mówiłem, aby mi dali dostatek ładunków, abym miał dla obywateli. Zaraz też poszali ze mną dwóch oficerów do cekhausu, bo tam już był taki oficer, który od nas miał dyspozycję, aby pospólstwu broń i amunicję rozdawał.

Dwaj oficerowie wynieśli z cekhausu sześć tysięcy ładunków i skałek do broni. Ładunki i skałki miałem w chustkach powiązane i wsiąłem je z sobą do karety.

Gdym jechał do siebie, po drodze przed kościołem św. Trójcy spotkałem roni jadących ulanów królewskich. Widząc oficera na koniu, zawolałem, że mam bardzo ważny interes i poprosiłem go na butelkę wina. Oficer ten zaczął mi się wymawiać, że jedzie z rontem. Ale ponieważ powracał już do koźsar, więc go uprościłem, że ze mną na wino poszedł, a żołnierzy do koźsar odesłał, tylko swego konia dał memu stangretowi potrzymaną. Gdyśmy przyszedł na wino, nalawszy szklankę, wypilem do niego i jemu oddałem i zaraz zacząłem do niego mówić temi słowami:

— Mości Dobrodzieju, wiem że jesteś obrońcą ojezyny naszej, bo jesteś polski żołnierz. Racz mi powiedzieć, jeżeli wiesz o tem, że dnia jutrzejszego mają nam moskale arsenał zabrać i żołnierzy naszych rozbroić, lub też onych wybić, a Warszawę z nimi zapalić. Więc W.Panu dobrodziejowi donoszę, że



mentu pojedzie do korpusu swego i o ten wiadomi wszystkich oficerów swolch, aby byli w pogotowiu.

I zaraz przed Bogiem palec na palec złożył, że nam szczerze dopomagać będą, gdyż to i o nich tak dobrze chodziło, jak i o nas, bo gdyby nie byli o tem wiadomieni, to by bardzo snadno wpadli w ręce nieprzyjaciel. skie.

Oficer ten mówił do mnie potem te słowa: — Obywatele! bądź o nas przekonany, że lubośmy królowi przysięgali wykonać na wierność, ale jak widzisz, król nas na to u sprawdził, abyśmy broń przed nieprzyjacielem złożyli, czego z was żaden też krzywdy sobie zrobić nie da. Wolimy się ryzykować na śmierć, aniżeli byśmy mieli być rozbrojeni publicznie w stolicy. — My z wami stanieniem do obrony naszej ojczyzny — bo już dosyć pogardy cierpiemy. Raz się urodziłem i raz dla mojej ojczyzny niech umieram. Proszę cię, obywatelu, abyś mnie objaśnił mógł, byśmy wiedzieli, gdzie się mamy udać, gdy się zacznie rewolucja i o której godzinie.

Widząc go dosyć gorliwie mówiącego do mnie, zaraz go dokładnie uwiadomilem, że gdy się dzieła zrobi, aby już konie mieli w pogotowiu, i udał się do żołnierzy mirowskich, do których najbliższymi mieli, a którzy już są w pogotowiu do bitwy, i aby się razem z nimi trzymali, jeżeli nie chcą być rozbrojeni.

Ale mu jednak balem się powiedzieć, o której godzinie zacząć mamy.

Poczułszy oficer za tę przestroję, którą mu dałem, oświadczył nieśmiertelną wdzięczność i powiedział, że jak najraniej będzie u mnie. To jego oświadczenie mocno mnie przeraziło, lekając się, aby mnie nie wydał. Więc wyprowadzi wino pożełaliśmy się z przyrzeczeniem, że zaraz to wszystko drugim opowie i też już od tego momentu będę w pogotowiu do rewolucji.

...Gdy godzina trzecia wybiła, zaraz śpiących u mnie ludzi, z okładem 200, obudzilem, którzy się na noc do mnie posochdzili, aby już oczekiwali na wyzalenie z armaty. Wziąłem w jedną serwetkę ładunki, a w drugą skałki i poszedłem najprzód do żołnierzy miejskich i im rozdałem, aby się mieli czym bronąć, ponieważ u tych żołnierzy skałki drewniane były, a prochu u siebie nawet nie miał.

Rozdysponowałem, w którym miejscu mają oczekiwać na moskall, a potem poszedłem do ich wachmistrza, także jemu dałem ładunków i skałek, przykazując mu jak najsurowiej, aby gdy się alarm zacznie, natychmiast zaczął na ratuszu na gwałt trąbić i dzwonić pod odpowiedź życia, gdyby tego rozkazu tego nie dotrzywał.

Stamtąd poszedłem do żołnierzy marszałkowskich: chcąc ich także o rewolucji uwiadomić.

Lubo ich pan mocno zabronił gadać o niej, ale ja tak byłem do jego żołnierzy poufany, że sam się kozy wcale nie obawiał, ale nawet na wzburzenie ich, aby swego pana uniwersałów nie słuchali, wydałem im skałki i ładunki i już im nie sekretnie powiedziałem, że się już zacznie rewolucja, ale im wyraźnie powiedziałem, że już temu i sam marszałek nie poradzi.

Żołnierze byli daleko łagodniejsi, aniżeli ich pan, bo się z mną nie spierał, ale całym sercem ode mnie ładunki przyjęli, których wcale przy sobie nie mieli.

Rozdawał ładunki, zadysonowałem, aby zaraz gdy się alarm zacznie, moskali, gdyby chcieli przechodzić przez Nowomiejską bramę, żadnym sposobem nie wypuszczali, ale im zdaleka od bramy odpór dawał.

Żołnierze jak najprędzej zabrali się do nabijania broni.

Bardzo byłem szczęśliwy, że i tych już pozyskałem, bo ich się najbardziej trzeba było obawiać, nie chcąc stędział w ich pięknej kozie. Ale Bóg mnie przeczł od niej obronił, że mnie przecież omięła.

Po uczynionej dyspozycji żołnierzom marszałkowskim, zaraz moich ludzi posłałem zabezpieczyć dzwony po kościolach, jako to tych: u Dominikańców, Paulinów, od Fary, u Bernardynów: do kościółów tych posłałem po dwóch ludzi, by na gwałt dzwonili, aby od razu nieprzyjaciół napędzić bojaźnią i strachem.

Gdym to rozdysponował, już się dzieła myli zrobić, a że jeszcze miałem trochę czasu do wyznaczonej godziny, więc powtórnie poszedłem na ratusz do wachmistrza, chcąc mu jeszcze dokładnie rozpowiedzieć, aby gdy się alarm zacznie, zaraz moskiewską kancelarię wziął w swoje obroty, którą mieli w rynku.

Przyśzedłem do niego, już nie zastałem go u siebie. Poszedł mnie do prezydenta meldować, że ja buntuję po Warszawie robię, i że m u przyniósł ładunków i skałek. Piękny żołnierze!... ja mu przyniósł, aby się sam od śmierci bronił, gdy nas bronieć nie będzie, a on mnie za to jeszcze oskarżył poszedł.

Prezydent zaraz poszedł do króla.

Król jęmością jak najprędzej posłał generała Byszewskiego z raportem do Igelstroma.*)

Gdym się o tem dowiedział, zaraz powracając do siebie po broń, już będąc w pałacu wielkiej, wziąłem kordelas u księdza Mejera,**) który miał przy sobie.

Właśnie na ten czas nadzedł u mnie oficer moskiewski, by mnie aresztować. Ja, wzięwszy kordelas, tego momentu na nim początek zrobiłem i zaraz krzyknąłem na ludzi, aby poszli za moim przykładem i nieprzyjaciół pasznych nie żalowali.

Równocześnie ten sam ulan, który mnie wczoraj zapewniał, że jak najraniej miał być u mnie, przyjechał do mnie, donosząc, że już wszyscy ulani królewscy złączyli się z żołnierzami mirowskimi, i że już mieli wyjechać do ataku, tylko mnie kazali dać znać, abym już zaczął.

Będąc kontent, że nam Bóg dał tych serca pozyskać, o których my się lekaliśmy nie mając ich zabezpieczonych, uścisłem go serdecznie za tą pocieszną nowinę.

Mówilem mu, aby jak najprędzej dawał znać o tem, żeśmy już zaczęli.

Narobiłem krzyku, aby lud usłyszał — alie Bóg dał, że ludzie ze wszystkich stron zbiegali się, tak też zaraz i w dzwony na gwałt uderzyl.

Na Igelstroma najlepiej zrobiłem przysposobienie, bo tam szwcow i krawców postawiłem na niego. A na Baura, który stał na Nowem Mieście, zdałem Sierakowskiemu, starszemu rzeźnikiemu, dyspozycję, aby go włączyć w swoje obroty.

*) Igelstrom — namiestnik carski w Polsce.

***) Ks Mejer — ksiądz-demokrata, jeden z przywódców powstania w Warszawie.

HISTORIA ŚWIATA W ANEGDOTACH

Solon i Krezus

Histyk grecki Herodot opowiada o spotkaniu najbogatszego Greka Solona z najbogatszym władcą świata, królem lidyjskim Krezusem.

Władca Lidii pokazał Solonowi swój wspaniały skarbiec, po czym zapytał filozofa, kogo uważa za najszczęśliwszego człowieka na ziemi, w nadziei, że usłyszy swoje imię. Jakież było jego zdanie, gdy Solon wymienił pewnego Greka, który znalazł szczęście w życiu rodzinnym i zginił śmiercią bohater na polu walki. Następnie Solon wymienił jeszcze synów pewnej wdowy, którzy — wobec niędzy — zwrężyli się do państwa — zaciągnęli matkę w wózku do odległej świa-



ty, gdzie bardzo zmęczeni zasnęli, i nie obudzili się już więcej.

Urażony Krezus zapytał Solona, dlaczego wyżej stawia losy nie nie znaczących obywateli od królewskiego bogactwa i szczęścia. Na to atętnik mędrzec odpowiedział: „Trzeba zawsze patrzeć końca, zdarza się bowiem, że tym, którym bogowie użyczyli szczęścia, potem je odbierali”.

Krezus odesłał Solona do domu, uważając go za człowieka nierozważnego, który liczy się nie z latwiejszym stanem rzeczy, ale z przyszłym ich biegiem. Gdy jednak władca Perzji Cyrus rozbił państwo Krezusa, ten przypomniał sobie słowa atętnego mędrca.

Amasis Faraon

Gdy po straceniu Króla Apriosa, po którego Egiptu sięgnął Amasis, człowiek nie królewskiego pochodzenia, wielu obywateli nie chciało usnąć za władcę tego, który do niedawna był im równy.

Wtedy Amasis wpadł na kapitalny pomysł. Kazał przetopić złoto masy, które służyło mu do mycia się, na posąg bogi. Posąg ten zyskał wielu wyznawców. Gdy Amasis się o tym dowiedział, zwołał więc obywateli, na którym wyjawili im pochodzenie boskiego posągu. Potem porównał „karierę” posągu

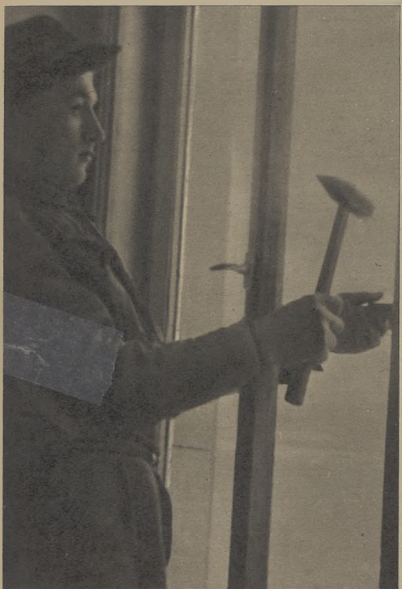


za swoją. Był żywym śmiertelnikiem, ale dzięki zmianie sytuacji został faraonem, więc Egipcjanie powinni mu tak samo, jak złotemu bóstwu, okazywać należną cześć. Sposób Amasisa okazał się skutecznym.

Psychika dorobkiewiczów nie zmienia się w ciągu tysiącleci: Napoleon, który będąc u szczytu władzy, kazał sobie zrobić złoczone naczynie, mógł z całą szlachetnością powtórzyć o sobie filozoficzny żart starożytnego faraona.



Oleczak Wiesław ma 16 lat. Jak wielu chłopców — warszawiaków, brał czynny udział w powstaniu i jak wielu chłopców — stracił w płonącej Warszawie rodziców. Został sam jeden. Po obozowej tułaczce, z niezupełnie zagojoną jeszcze raną, wrócił z powrotem do swego rodzinnego miasta. Dziś pracuje jako goniec w redakcji dziennika „Polska Zbrojna”. Ze skromnego zarobku opłaca „kąt przy ludziach”, jedzenie, ubranie. Wczorzem chodzi do szkoły. Lubi teatr i bardzo chciałby należeć do kółka dramatycznego — ale czasu zostaje tak mało, a Wiesław Oleczak tyle ma jeszcze do zrobienia! Chce przecież kiedyś przestać być gońcem. Chce ukończyć kurs krojeży i wykształcić się na dobrego, na najlepszego krawca w Warszawie. — „Wtedy — dodaje marząco — gdy Warszawa znów będzie odbudowana, przyjeżdżać będą goście z całego świata, tak jak do Paryża. Niech zobaczą, że umiemy tak samo elegancko żyć, jak tam...”



Teofilak Bolesław — lat 22 — z zawodu stolarz budowlany, zamieszkuje wraz z żoną maty, ciemny pokójek. Mieszkanie ma nie najlepsze i pieniędzy też nie najwięcej — ale to przecież raj — mówi — w porównaniu z warunkami, w jakich żyłem w Niemczech, jako „przymusowy” robotnik. Z zajęcia swego jest Teofilak zadowolony, choć oddawna marzył i marzy o tym, by zostać pilotem.

— A dlaczego nie spróbować? — pytam.

— No, jak? — Cięzko...

Lecz, gdy mu tłumaczą, że przecież są do dyspozycji młodzieży szkoły zawodowe, bursy itp. — zapala się:

—Gdzie są takie szkoły?

Na pytanie moje, co myśli o powojennej młodzieży, mówi:

Niestety, zdaje mi się, że jest zdemoralizowanie, na przykład na mojej dzielnicy, gdzie mieszkam, dużo jest łobuziaków, którzy szukają lekkiego zarobku. Są i tacy, co uczelnie przepracują tydzień, a w sobotę wieczór przepiją i jeszcze się pobiją, czasami, wie pan, to lak ze smutku coś ciągnie człowieka i musi się wyszumieć...

Pytam jeszcze Bolesława Teofilaka jakiego, jego zdaniem, są przyczyny braku żywych zainteresowań ogółu młodzieży w jego dzielnicy dla spraw politycznych.

— Bardzo dużo młodych robotników — odpowiada — narzeka na niedość ostrą walkę rządu przeciw psakarzom, którzy są bardzo nienawidzeni przez robotników. Chcemy ich widzieć wszędzie na latarniach, bo oni są przyczyną naszej nędzy. To po pierwsze — a po wtóre — młodzież chce widzieć mocną młodzież, jedną organizację dla wszystkich.

18-letnia Gienia Perebezowska, pracownica domowa, ma już dość szcetek, ścierek i garnków. — Będzie pracowała w fabryce, mówi, w tkalni może, tam robota jest czysta, przeparuje człowiek swoje i ma spokój. I towarzysstwa ma się więcej i większe możliwości... Gienia Perebezowska jest zdolna. Umie ładnie, z uczuciem, deklamować wiersze, umie śpiewać i tańczyć. Głęboko w sercu chowa swoje najskrytsze marzenie: scenę. Móc grać — W powłóczystej teatralnej sukni móc grać wszystkie te piękne kobiece postacie, bohaterki i wzruszające! Gienia Perebezowska sama trochę się śmieje z tych swoich marzeń, ale — nie rezygnuje z dążenia do ich realizacji. Tylko — jak zacząć? Gdzie się zwrócić? Czego uczyć się najpierw?

Przed Gienią, jeśli chce osiągnąć swój cel, stoją wielkie przeszkody do pokonania. Ale dziś dla młodzieży nie ma żadnych zamkniętych dróg i Gienia Perebezowska, pracownica domowa, może w końcu dojść do sceny, jeśli tylko posiada wytrwałość, dobrą wolę — i szczyry talent.



Kazimierczak Stefan, lat 22, kanonier Armii Andersa, dopiero od 8-ciu tygodni jest w kraju. W 1939 r. wyemigrował do Rosji, w 1941 — wraz z całą Armią Andersa znalazł się w Persji.

— Z Persji — opowiada — wyrzucono nas do Palestyny, a stamtąd do Egiptu. Walczyliśmy o kanał Suezki. Z Egiptu wyjechaliśmy do Włoch, biliśmy się w Sangrio, Monte Cassino... Byłem ciężko ranny. Serce bolało, że nie możemy walczyć na własnej ziemi. O I-ej Armii nie wiedzieliśmy nic, o Polsece po wyzwoleniu mówiono rzeczy straszne: że rządzą Rosjanie, że nas wszystkich po powrocie posłań na Sybir... Dopiero w maju 1946 doszły nas pierwsze prawdziwe wiadomości przez radio i listy. Ja sam też dostałem list od siostry, porucznika I-ej Armii. Wtedy nastąpił bunt i rozłam. Żołnierze chcieli wrócić. Tęskniliśmy wszyscy, dość już mieliśmy waleśniania się po obcych. Ale nie chcieli nas puścić, karali, szykanowali. Kilka razy urządzałyśmy głodówki. Wreszcie udało mi się uzyskać kontakt z Ambasadą Polską w Londynie. Z grupą 3.000 ludzi wróciliśmy do kraju. Tu dopiero przekonaliśmy się, na ile bujała nas propaganda!

— Obecnie jestem już zaangażowany do M.Z.K. jako elektromonter. Trzeba pracować szybko, by zwrócić Polsce czas stracony za granicą...





Siedziba Konferencji Moskiewskiej



Zebrał w Moskwie członkowie Rad Ministrów Spraw Zagranicznych Marshall, Bidault, Bevin i Molotow, uścisnęli się uprzejmie. Tak przynajmniej przedstawia ich znany karykaturzysta francuski Cabrol. W rzeczywistości sprawa zapewnie nie wyglądała tak radosno. Ostatnie ustalenie form „frakcji niemieckiej” nasuwa poważne trudności. Między przedstawicielami poszczególnych państw zaryzowały się zasadnicze różnice poglądów. Na czele w tymo są bar sekretarza stanu U.S.A., Marshalla, wystąpił z propozycją rewizji uchwał poczemskich, które przynajmniej Polacy, leny zachodnie do Odry i Nysy Łużyckiej. Minister Marshall, którego poparli przedstawiciel Abahii Bawii zaproponował utworzenie specjalnej komisji, która zajęłaby się wytyczeniem nowej granicy polsko-niemieckiej z uwzględnieniem „wzajemnych potrzeb” tych państw. Minister spraw zagranicznych Z.S.R.R., Molotow, wypowiedział się kategorycznie przeciw propozycjom państw angielskich. Powiedział on: „Rząd Radziecki uważa, że decyzja odnieda tych terenów Polsce jest ostateczna”. Do odwiedzenia Molotowa przylądził się minister Bidault.

Zdawało nam się dotychczas, że Niemcy wolno przegrali. Tymczasem, jak się okazuje, mają one swoich delegatów nawet na posiedzeniach Wielkiej Czwórki. Jak pisał „New York Times”, przewodniczący biura niemieckiego dla spraw pokoju, dr Fritz Eberhard, na wypowiedzi swojej na temat udziału Niemiec na Konferencji moskiewskiej, odpowiedział, że Niemcy są w Moskwie praktycznie reprezentowane przez p. Marshalla, p. Marshallowa z U.S.A. i p. Bevinowa z Wielkiej Brytanii i są to jednomyślnie niemieckiego słownictwu myśleć się władz zachodnich.

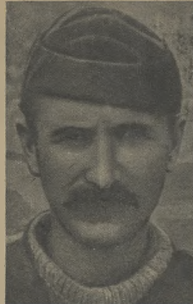
KATYSTOWE - FOTO KAP



Gen. Franco Arzuariz Hiszpani i świata doś niedyktę „pyma aprilla” w nocy z 31 marca na 1 kwietnia, grzmieniałe przez radio z okazji 34-j rocznicy zakończenia wojny domowej w Hiszpanii, odpowiedział, że w parlamencie płożona jest ustawa, w myśl której Hiszpania ma udzi-

nić królowi, jako gen. Franco, jako głowa państwa na czele. Pomocnika Franco wybudził protest prezydenta do tronu hiszpańskiego, Don Juana. Ogłosił on orędzie, w którym stwierdził, że ogłasza amnunię przez Franco jest pozbawione legalności i nie obowiązuje narodu.

Jedni królowie się odważą, inni umiarają, w Detroit w wieku lat 83 zmarł król samochodowy Henry Ford—pionier masowej produkcji i systemu fabrycznego, który skóra wprowadził czas motorków, ale jest niezwykłym wynalazcą. Henry Ford zasłynął za niezwykłego człowieka świata. Pożyczył po sobie obryzmia fortuna—owoc obywatelnego, co granie wsokonałoci doprowadzzonego systemu wyzyskiwania robotników.



Opanowana przez wojnę domową Grecja od szeregu dni jest tematem dyskusji na Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Odwołanie prezydenta D.R.A. Triumana, w którym zapowiedział on dostawę dla Grecji transportów broni, która ma być użyta przeciw wojskom ustroju monarchistycznego, wy-

wolno ostrą sprzeciw delegatów państw demokratycznych, przede wszystkim delegacji radzieckiej. Mimo to — jak donoszą ostatnie komunikaty — ofensywa rządowa przeciw greckim powstaniom trwa. Do działań ujęto oddziały wojskowych, żandarmerii, lotnictwa, skoczaków spadochronowych i Dotę wojenną. Ludność wyraża się do udzielania

pomocy armii rządowej — sympatyci ludu greckiego są jednak po stronie partyzantów. Na zdjęciu — dowódca armii powstańczej, gen. Markos, którego odwołaniu niedawno przedstawiła Komisja Antikomunistyczna Zjednoczonych, Chłob — działający z partyzanckiego oddziału.



1 kwietnia 1947 był dzień interakcyjnym dniem. Jeżeli chodzi o królów, Europa otrzymała króla Franco, straciła za to Jerzego II, króla Grecji, który

zmarł tego dnia w Atenach na udar serca. Nowym królem Grecji problemowany został brat zmarłego, Paweł.



W Rzymie zakończył się proces zabójstwa Matteottiego, jednego z czołowych działaczy wkrótce do partii komunistycznej. Proces rozpoczął się w roku 1962. Sprawców nie wykryto, obłąkał rządów przez Mussoliniego na długie lata przewodził

zabójcy. Po wojnie demokratyczne władze włoskie wyprawiły Eridowu Sprawcy morderstwa — Mario Deonni, Amleto Poweromo i Albino Volio skazani socjali na maksimum kary przewidzianej przez Kodeks włoski — 30 lat więzienia.

A oto Walter Audisio, znany jako „Colonel Valerio”, wykomunistyczny dyktator partyzanckiego na Mussolinim, przemawia w Rzymie na trybunach bazyliki cesarza Maksencjusza.

Wydra

Dr Jan Żabiński



Tak wygląda wydra



Umiem się zachować nawet w pokoju.



Na ściółce leśnej jest najprzyjemniej.



Przyjemnie jest pieścić się ze swoim panem.

Tyle się ostatnio pisze i mówi o Zoo i jego restytucji w Warszawie, że może nie od rzeczy będzie dać garść informacji o pierwszym podarunku, jaki dostała ta orestaurowująca się Instytucja od Dyrektora Białostockich Lasów Państwowych. Była to mała wydra, zwierzę u nas bardzo popularne, aczkolwiek raczej z inlenia, gdyż za prawdę elegantów, ale za to bardzo pospolitych wyzysk pod adresem nieulubianych pań.

Dawnym zwyczajem, jak wtedy, gdy za najlepszych czasów Warszawskiego Zoo uważałem za swój obowiązek zarekomendować każdego nowego pensjonariusza, zanim będę miał sposobność pisać o żyrafach, orangutanach i hipopotamach, ograniczę się obecnie do naszej rodzimiej wydry, której życie — aczkolwiek mniej egzotyczne — jest z całą pewnością równie interesujące, jak życie zagranicznych asaków.

Wydry są w Europie środkowej i Zachodniej coraz mniej liczne, gdyż tępią je zarówno jako szkodnika stawów rybnych, jak i dla cenneści futra. W rzekach i jeziorach Syberii jest ich zapewne jeszcze dość dużo, ale nigdzie już wydra nie występuje jako zwierzę, jak to się mówi, pospolite.

Wydra zamieszkuje płn. Afrykę, Europę oraz Azję, z wyjątkiem okolic podległowych oraz półwyspu Malajskiego. W Ameryce i Afryce na południe od Sahary oraz na Malajach mieszka ją formy pokrewne naszemu gatunkowi. Widać więc, że z wyjątkiem Australii i Antarktydy, świat jest dość dookładnie „zawyrzony”.

Wydra nie jest zwierzęciem wielkim. Stojąc na czterech nogach ma wysokość zaledwie 30 cm. Długość jej może wynosić około półtora metra, z czego pół przypada na długi, ostro zakończony ogon. Po ziemi porusza się niezbyt zgrabnie, bądź zabawnym wężowatym truchcikiem, bądź skokami. Nigdy zresztą nie przebiega większych odległości, a zazwyczaj coraz to zatrzymuje się, staje ałupka, wznosząc swoją okrągłą głowę, nie tylko zresztą po to, jakby można przypuszczać, by się rozejrzeć po świecie (wzrok ma dobry), ale dla „złapania wiatru”, gdyż znakomity wdech informuje ją o tym, co się dzieje dookoła. Jest czujna i na krótkich odległościach poruszać się potrafi błyskawicznie szybko. Prawdziwym jednak jej żywiołem jest woda. I to nie dlatego, żeby miała w pływaniu rozwijać jakąś niebywałą szybkość, ale przede wszystkim z tych przyczyn, że pierworzędnie nurkuje, długo wy-

trzymując pod wodą i przepływając pokątne odległości, a ponad to porusza się w wodzie tak zręcznie i zwinnie, że z powodzeniem chwytą tak świetnie przystosowane do warunków wodnych ryby.

Nie znaczy to jednak, że wydra je ryby i wyłącznie tylko ryby. W ogóle pod względem żywienia się dziełk zwierząt poglądy nasze są trochę za nadto uproszczone. Uważa się za reguły, że wydra je ryby, lis — kuropaty, zajęce lub ptactwo domowe, bór — korę drzew, a kot — myszy. Tymczasem normalna jadalność tych zwierząt jest o wiele bogatsza. Co tylko nawinie się jadalnego w czasie poszukiwań pożywienia, to zazwyczaj staje się łakomym kąskiem. Wydra więc zjada ślimaki wodne, żaby, jaja lub pisklęta ptaków, nie pogardzi jaszczurką lub węzłem, chętnie zje każdego schwytanego owada. Nie dosyć na tym — kartofel, marchew, owoce, a w pewnych ilościach świeża kora drzew i trawa też są przez nią chętnie konsumowane. Ulubionym jej pokarmem są raki i małże. Jednym słowem, wszystko to, co znaleźć można w wodach lub w pobliżu wód. Wydra bowiem jest typowym zwierzęciem nadwodnym. Nory swoje, do których wejście znajduje się zazwyczaj pod wodą, kopie w brzegu, rzeki lub stawu, kończąc szeroką komorę, w której posiada wysłane trawą czy liśmi legowisko. Gęste futro oraz świetne opanowanie żywiołu wodnego pozwala jej na prowadzenie czynnego życia w ciągu całego roku bez obaw przed najbardziej dotkliwymi mrozami. Przy największym zimnie, kiedy zwierzęta łądowe bądź zapadają w sen zimowy, bądź kula się w swych legowiskach i tylko głód zmusza je do wyprawy po jedzenie — wydra w każdej chwili ma możliwość „ogrania się” w wodzie.

Sądzę, że trzeba będzie chwili zastanowienia, aby zorientować się, że to nie jest po prostu „nabieranie”. Ale przypomnijmy sobie przecież, że przy 20 to stopniowym nawet mrozie temperatura wody w praktyce nigdy nie spadnie niżej zera, więc w nuriach jej jest bezspornie cieplej niż na powietrzu. Tym nie mniej nigdy nie możemy patrzeć bez dręczenia na moje wydry, kiedy przy szczyt pływaniu w uszy i nos mrozie pobiegawszy trochę po śniegów zrzucały się nagłe do wody. Co innego bowiem jest fizyka i teoretyczne wiadomości, a co innego własne odczuwanie. Z publiczności zaś prawie nikt obserwujący takie zabawy nie mógł powstrzymać się od współczucia, iż biedna istota w taki mróz jeszcze w dodatku wchodził do wody. No i naturalnie zaraz przy tym powstaje osąd: jakie

to zwierzę jest głupe! Radziłbym nigdy zbyt pochopnie nie wypowiadać podobnych opinii o zwierzętach.

Wydrę zresztą człowiek „laskawie” uważa za „mądrą”. Daje się bowiem dość łatwo oswojać, a w Indiach, tak jak to u nas czynił pan Pasek, rybacy tresują ją nawet do połowu ryb.

Mimo swych stosunkowo niewielkich rozmiarów, wydra potrafi być prawdziwie niebezpieczna. Jest silna, odważna i gryzie zaciekłe i boleśnie. Pewno styszeliście o tym, jak pan Pasek wygrał zakład, iż jego wydra naucej morenu charclicę sąsiada — charclicę, która sama szła do walki z wilkiem. Ja dodam do tego tutaj inną prawdziwą historię o pięcioletniej, a więc w pełni silnej wydrze, która podkradając się w czasie zimy do kurnika młynarza, została sąsiadkowaną jednocześnie przez podwórzowego psa i fokateriera. Zdawalioby się, że z tej opresji trudno będzie zwierzęciu wyjść cało. Tymczasem rzecz się odbyła tak. Uciekającą ku przerebł wydrę, dopadł najpierw podwórzowy pies. Natychmiast został ostrymi zębami tak chwyciony za łapę, że kość trzasnęła, w rezultacie czego po krótkiej kłopotawności, w której zapalczywy fokaterier więcej gryzł towarzysza, aniżeli jak wąż wijącą się wydrę, wielki pies z bólu, strachu i przerażenia — umknął. W tejże chwili wydra chwyciła za gardło fokateriera i razem z nim skoczyła w przerebł. Łatwo się domyśleć, iż nie wyszedł on żywy z walki pod wodą. Tu wydra nie potrzebowała nawet fatygować swych zębów — wystarczyło jedynie nie dopuścić do wypłynięcia ofiary na powierzchnię.

Nie darmo wydra należy do rodziny kunowatych, których najmniejsi nawet przedstawiciele, jak lasice i gronostaje, odznaczają się zadziwiająco bitnością. Pisząc to jednak mam pewnego rodzaju obawę, aby mnie mylnie nie zrozumiano. W naszej literaturze przyrodniczej — dość często spotyka się niedorzeczne opisy, przypisujące wspomnianej dopiero co lasicze atakowanie np. przebojem na drodze konia i to atakowanie tak zaciekłe i niebezpieczne, że jeździec musi udzielać obrony swemu rumakowi. W stajni zaś ma być jeszcze dużo gorzej, lasica wygryza jakoby wielkie rany w kłębach końskich, powodując nawet śmierć swych ofiar. Ludzie mają niekiedy skłonność do wręcz zadziwiającej przesady. Niech nam więc wystarczy stwierdzenie, że wydra nie rzadko obroni się przed psem, a szczególnie jeśli to będzie „prostak” i nigdy z wydrą nie miał do czynienia. Są jednak specjalne rasy psów, tresowanych w chwytaniu wyder — te zazwy-

czaj dają sobie radę z mniejszymi, ale do ostatniego tchu broniącym się przeciwnikiem.

Polowanie na wydrę jest bardzo trudne, gdyż zazwyczaj z kilkuset metrów zwietrzy ona człowieka lub psa. Zaciekle myśliwy długie noce zimowe musiał przepędzać nieruchomo w szalase aż trafi się chwila, kiedy ze specjalnie wyrażanej przerebłi wymurzy się wreszcie wydra na odległość strzału. Najczęściej łowi się ją zresztą w żelaza. Wszystkie te sposoby, stosowane w właściwym człowiekowi uporem i zawziętością, są właśnie przyczyną, dla której wydry już prawie wyginęły w Europie.

Mala szkoda, krótki żal — pomyśli może czytelnik. Jeżeli szkodnik — trzeba go przecież tępić. Zdaje mi się jednak, że za często i za dużo szernowaliśmy ostatnio tym wyrazem i za wiele wytrzebiliśmy w myśli tego hasła zwierząt. Dziś w Europie, z wyjątkiem myszy i szczurów, nie ma właściwie ssaków, zasługujących na miano prawdziwego szkodnika. Motywem tępienia wydry było przede wszystkim jej futerko, po dziś dzień bardzo cenne, a nawet cenniejsze, w miarę, jak wydra staje się rzadsza. Poza tym kilkanaście lat temu mięso wydry uważane było za przysmak i jak posiadają kroniki, mnisz w klasztorach, lubiący sobie dobrze podjeść, placili po talarze za funt „wydrzyny”, będącej konieczną ozdobą „święcanego”.

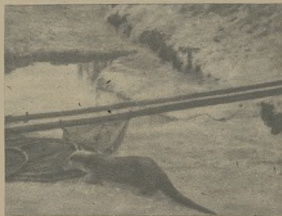
Ze swej strony stwierdził muszę, że comber wydry jest lykowaty, twardy i b. ciężko strawny. Widocznie więc prozdoknie naal rozporządzali jakimś tajemnym umiejętnościami kucharskimi, dzięki którym potrafili tę potrawę odpowiednio przygotować, a może po prostu wówczas gusty były mniej wybredne. Po dziś dzień za to cenne jest sadło wydrze, używane do leków.

Dokładne dane z życia wydry nie są znane i to nie tylko dzięki jej ostrożności, ale przede wszystkim dlatego, iż mimo łatwości oswojania się z człowiekiem, do tej pory wydry nigdy nie rozmażały się w niewoli. Wszystkożemna wydra nie jest kosztowna do wychowania, a oswojona — rozumnie człowieka również dobrze jak pies, jest werna, wesła i pojętna. Tylko coś — oswojone dzikie zwierzę, nauczone ufności do ludzi — niech tylko choć na chwilę oddał się od swych gospodarzy, napewno natrafi na kogoś, kto je zabije kijem lub kamieniem i będzie sądził w dodatku, że dokonał wzniosłego czynu, którym należy się chlubić.

Dopóki ten stosunek do zwierząt nie zmieni się u nas — prawdziwi ich przyjaciele i hodowcy nigdy nie będą mogli swobodnie trzymać swych pupilów.



Ślady na śniegu.



Trzeba poznać urządzenie wroga.



Taki karp wystarczy na dzienną porcję.



Jeżeli chodzi o służenie, to wydra robi to z całą łatwością.



„Krakowiak” — tańca zespół kola MON — Mokotów.



„Macieju... Macieju...” — inscenizacja piosenki ludowej w wykonaniu kola terenowego ZWM — Targówek.



Z PIĘŚNIĄ I TAŃCEM

Jedną z wielu dziedzin pra y świetlicowej jest działalność własnych zespołów artystycznych. „Teatr świetlicowy” różni się zasadniczo od teatru zawodowego i amatorskiego metrażem swej pracy. Polowę programu wypełnia muzyka, śpiew i taniec, przekształcając występ amatorski w pewnego rodzaju operetkę, w której poszczególne obrazy przebiegają się w barwnym sekwencji i stanowią prawdziwe odprężenie po całonocnej pracy, zarówno dla kolegów jak i wykonawców. Wszyscy bowiem artyści świetlicy w życiu rodzinnym i ludzie pracy.

W swej wędrowce po młodzieżowych świetlicach warszawskich znanieśmy się na finale Wielkiego Konkursu Zespołów Świetlicowych ZWM, zorganizowanego przez Zarząd Warszawski. Do konkursu stanęło 30 grup dzielnicowych. Jury konkursowe zakwalifikowało do finału 8 zespołów. Małżonka największego polskiego artysty, Ludwika Solskiego, przyłuchiwała się ze szczerym zainteresowaniem występom zespołów, często służąc radą komiżną. A klasyfikacja była trudna — wszystkie zespoły wykazywały stosunkowo wysoki poziom.

W dniu 30 marca w szczelnie wypełnionej sali Wiedza na Pradze rozpoczęła się ostatnia

rywalizacja o pierwszeństwo zespołowe. Publiczność, składająca się z przeważającą częścią z młodzieży (nie brakło także starszych), żywo i energicznie reagowała na poszczególne występy, nie żując oklasków. Domagano się śladów, ale artyści nie mogli uczynić zadość życzeniom widzów, gdyż to nie jest przewidziane w występach świetlicowych, a zresztą — nie było czasu. Tak bogaty program należało przeczyć zakończyć o oznaczonej godzinie. Tańce ludowe przepiatane były akcentami i recytacjami.

Występy zakończono Jury po krótkiej naradzie przyznało nagrody w następującej kolejności dzielnicom:

1. Żolibórz.
2. Mokotów.
3. Targówek.
4. Grochów.
5. Wola.
6. Praga Centralna.
7. Bródno-Śródmieście.
8. Kola.

Zespoły nagrodzone zostały ponad to żywo i szczerą sympatią publiczności.

Jaraczewski Jerzy



Ostatnie powtórzenie roli.



Jury konkursu. W środku — p. Solska, żona Ludwika Solskiego.



Marjore Kinnan Rawlings

Rocznik

Przekład autoryzowany Adama Galisa B)

— Gdybym była wiedziała, że przyjeździecie — odezwała się Ma Forrester — przygotowałabym coś dobrego do zjedzenia. Do stołu, panowie, prosimy! Czyż chęta bogata!

Jody zerknął w stronę ojca. Chciał się przekonać, jakie wrażeń wywrze na Pennym ta obfitość smakowitych, Twarz Pennygo była poważna.

— Proszę pani — powiedział Penny — to przyjęcie byłoby dostatecznie wytworne, nawet dla gubernatora stanu.

Ma Forrester powiedziała nagle skonfuszona:

— Myślisz, że wy modlicie się przy stole, przed posiłkiem. Ej, starusku, nie spadnie ci korona z głowy, jeżeli raczysz zmówić modlitwę przed jedzeniem, skoro już mamy gości!

Pa Forrester powiedział dokoła nieszczytliwym spojrzeniem i złożył dłonie.

— Dobry Panie Boże, raz jeszcze raczyłbyś pobłogosławić nasze grzeszne dusze i ciała odpowiednimi porcjami. Amen!

Forresterowie chrząknęli i przypadli do jada. Jody siedział pomiędzy Mamą Forrester a Fodder-winglem. Penny miał miejsce naprzeciw. Na talerzach ułożył się istnie góry stawy, Buck i Mill-wheel wybierali najsmakowsze kaski dla Fodder-winga, który pod stołem podawał je Jodyemu. Nareszcie zapada cisza. Forresterowie jedli w skupieniu i szybko, aż im się uszy trzęsły. Między Lemem i Gabym wymykił jakiś spór. Pa Forrester uderzył zwiędłą pięścią w stół. Synowie oponowali przez chwilę przeciw wtra-

caniu się ojca, a potem ochłonęli i umiłli. Staruszek pochylił się do Pennygo i powiedział szepem:

— Wiesz, że moi chłopcy są nieokreśleni. Nie zachowują się jak należy. Piłusy są i zabijaki, a biada niewieście, która koło nich przejdzie. Uciekać musi jak lania! Ale trzeba im jedno przysiąc. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby który przy stole sprzeciwił się rodzicielom!

— A teraz opowiedz nam, sąsiędzie, o tym utrapionym niedźwiedzu — powiedział Pa Forrester.

— Prosimy! — dodała Ma Forrester — a wy, niepicie, zmywajcie naczyńia, zanim się tu zasłuchacie.

Synowie zerwali się od stołu, pozbiali wszystkie misy i talerze i zabrali się do zmywania. Jody wybluszył oczy ze zdumienia. Prędzej był się spodziewał, że zwiążą sobie kokiardy we włosach Ma Forrester, w drodze do fotelu na biegunach, uszczępnęła Jodyego w ucho.

— Nie mam służącej — powiedziała. — Jeśli chłopcy chcą, żebyim dla nich gotowała, to wy-pada, żeby sprzątnęli po mnie.

Jody spojrział na ojca z niemą prośbą, by przypadkiem nie zanotował tej straszliwej bezczynności do domu na Wyspie Baxterów. Forresterowie szybko uporali się z robotą. Fodder-wingł pokutykał za nimi, zbierając gdzie się dało resztki dla zwierząt. Jedyne w tym wypadku, gdy sam karmił psy, udawało mu się uratować trochę przysmaków dla swych ulubieńców. Uśmiechnął się z zadowolenia widząc, że sprawi dziś swoim pupilom prawdziwą ucztę.

Z obiadu zostało jeszcze tyle zimnych potraw, że wystarczyłoby na kolację dla całej rodziny. Jody zagapił się na tę obfitość.

Forresterowie zakończyli wycieranie naczyń i hałaśliwie zabrali się do rozrzeszania garnków, talerzy, patelni i mis na gwoździaki wbitych w ścianę obok kuchni. Poprzedzali krzesła wykładane krowią skórą oraz z truba ciowane taborety i ustawili je dokoła Pennygo. Niektórzy dobyli fejek z kapeluchów, a część oskrobywała z brunatnych lodg tytuń do zucia. Ma Forrester wciągnęła w nozdrza zwyciężę tabaki. Buck wziął na kolana fuzję Pennygo i zaczął majstrować małym piłnikiem przy obluźnionym kurku.

— A więc było tak — zaczął Penny opowieść. — Zaskoczył nas niespodzianie...

Jody zdziął.

— Wśliznął się jak cień i zabił naszą maciorę. Wypatroszył ją z góry na dół, a zjadł

tych kasek. Nie był głodny! Ot, podła bestia i złośliwa.

Przerwał na chwilę, by zapalić fajkę. Forresterowie pochylili się ku niemu, podając zapalone smolne drzazgi.

Przyśledzi cicho jak czarna chmura na wietrze. Okrzykił dom, by zmarkował skąd wiatr wieje. Zrobił to tak cicho, że psy nie usłyszały i nie zwietrzyły go. Nawet ten, na wet ten — pochylili się i poglaskali Perka, leżącego u jego stóp — dał się zwieść!

Forresterowie spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— Wyruszyliśmy po śniadaniu — ciągnął dalej Penny — Jody, ja i trzy psy. Tropiliśmy niedźwiedzia przez południową część puszczy, aż do strąk znowarów, gdzie są stawy. Gnałmy za nim aż do rzeki Juniper. Posłaliśmy przez trzesawisko. Ślady były coraz wyraźniejsze i świeższe. Dopadliśmy go wreszcie...

Forresterowie chwycili się za kolana.

— Staneliśmy sobie oko w oko, prozie was, nad brzegiem Juniper, w miejscu gdzie rzeczka jest głęboka i płynie wartko...

Jody pomyślał, że opowieść była bodaj ładniejsza od polowania. Ze słów ojca wypłynął znów obraz. Ujrzał znów cienie i paprocie, złamane palemki i bystry nurt rzeki. Podnieciła go opowieść Pennygo, a jednocześnie niepełnił uczuciem dumy. Dumny był ze swego ojca, który szkolnik tak niepozorny, za Forresterów. A poza tym umiał, tak jak dziś właśnie, snuć wątek czarodziejskiej opowieści, która zapierała dech w piersiach olbrzymich brzoźdźcy.

Penny uczynił z walki bohaterstwa epizod. Kiedy doszedł do miejsca, gdy go furza odrzuciła, a stary Slewfoot miażdżył Julię w uścisku, Gabby poknął prymkę tytoniu i skoczył do ogniska krztusząc się i spluwając. Forresterowie zaciskali pięści i siedzieli niepewnie na brzeżkach krzesel, słuchając opowieści z rozdławionymi gardłami.

— Mój Boże! — westchnął Buck — jaka szkoda, że mnie tam nie było!

— A w którą stronę Slewfoot uciekł? — dopytał się Gabby.

— Jeden Bóg raczy wiedzieć — odpowiedział Penny.

Zapadło milczenie.

Po chwili odezwał się Lem: — Ani razu nie wspomniałeś o psie, który tu jest z tobą.

— Dajże mi święty spokój! — powiedział Penny — mówię ci już, że jest diabeł wart.

— Widzę, że wyszedł z potrzeby obronnej ręką. Nie znać po nim śladu walki.

— Istotnie, nie znajdziesz na nim znaku.

— Ślad wnoskuje, że musi być dobrze utrojony piesek, skoro użerał się z niedźwiedziem i wyszedł bez zadrapania.

Penny pyknął kłęb dymu z fajki. Milczał.

Lem wstał, zbliżył się do Pennygo i stanął za nim. Pot wystąpił mu na oblicze.

— Pragnę dwóch rzeczy! — powiedział ochryplym głosem. — Pragnę być przy śmierci starego Slewfoota i muszę mieć tego psa!

— Na miłość Boską! — powiedział Penny łagodnie. — Oszukałbym cię, gdybym ci go sprzedał.

— Na nic nie zdę się klamstwo, Penny. Ile żądasz?

— Wolalibym sprzedać Ripa!

— Nie okpij mnie. Mam psy znacznie lepsze od Ripa!

Lem podszedł do ściany i zdjął strzelbę z gwoździka. Byłymy obydwa lufy. Załaziło luskę i kolba, wykonane z włoskiego orzecha, oraz dwa kurki. Mechanizm dubeltówki był złożony i precyzyjny. Lem złożył się, wycofował i podał broń Pennyemu.





Kronika Dziejów Baranich Główn

...działo się to w połowie grudnia 1944 roku, na początku i na końcu bohaterских dziejów dywizji „Baranich Główn”...

Działo się to na niewywołanych jeszcze obzarach Polski, na zachód od Wisły. W tym czasie Główna Komenda Wehrmachtu rozpłakowała obwieszczenia o ochotniczym zaciągu Polaków do służby w armii niemieckiej.

Obwieszczenia, przypominające o „śmiertelnym niebezpieczeństwie, przed którym stanęła nowa Europa”, obiecywały ochotnikom cuda. Mielł oni być zwznowani we wszystkim z szeregowcami Wehrmachtu. Mielł otrzymać pełny wikt i opierunek, dobry szpital i pogrzeb z paradą; przy czym, jako tereny służby, podano t. zw. GG i Słowację.

Spoleczeństwo zareagowało na hitlerowski obwieszczenia odpowiednio dowcipnymi dopiskami i drwiną — I jakkolwiek znalazło się tu i ówdzie trochę NSZ-owskiej szumowiny — cała akcja werbunkowa przeszła bez odzewku.

W ostatnim okresie okupacji w okolicach Końskich, Niemcy rozpoczęli gwałtowną akcję propagandową. Na rynku miasteczka działy i drzeń przelano megafon, uświadamiwszy „właścików” o „zasadniczym zwrocie” w polityce Trzeciej Rzeszy.

— Tak, tak zwracajom się na stronę rajchu, bo tyż i rzeczywiście inaszego zwrotu ni mamom? — mówil kum do kuma.

— Polacy, Polacy, zrozumcie i wybaczcie! — ryczał dostojnie megafon — niebezpieczeństwo grozi zarówno nam Niemcom, jak i wam Polakom!

— Adyż już wybaczamy, wybaczamy, możeta spokojnie zabierac się do rajchu! — odpowiadali ludzie.

O samym „wybaczeniu” było tak wiele, że w końcu ludzie okoliczni, przychodzący do Końskich, zaprzestali drwin i dowcipów.—Ot,

po prostu znużilo się wszystkim. — Takie było zasadnicze przygotowanie do akcji, która wyzysza się w końcu obwieszczeniami jak wyżej.

Ale do rzeczy. — W połowie grudnia i na początku stycznia, tuż prawie przed ofensywą zimową Czerwonej Armii, pojawiło się w okolicy Końskich kilku importowanych na przynętę NSZ-owców, w niemieckich mundurach i futrzanych czapkach.

Ludzie wynaleźli im zaraz nazwę. Mówilo się odpowiednio głośno: „patrzaj królik gdzie”, (bo czapki bojowników nowej Europy obszyły były króliczym futrem). Albo też mówiono: „baranie głowy” — przy czym ta ostatnia nazwa — mimo zasadniczej pomyłki co do rodzaju zwierząt futerkowych — ogólnie się przyjęła.

Po drogach wiejskich dzieci biegaly za „ochotnikami” z krzykiem „barania głowa, barania głowa”. — „Ochotnicy” początkowo reagowali przetrzępaniem ekory jakimiś malców. Ale gdy potem, delikatnie mówiac, chłopcy „skuli jednemu z królików twarz” — wojownicze postacie przestały się pokazywać.

W okolicy Końskich kandydat na „baraną głowę” znalazł się tylko jeden. — I tę kronikę dywizji „baranich głów” jemu rzecz prosta dedykujemy i poświęcamy.

Hieronim Wyłag, szeregowy ochotniczy dywizji „baranich głów” był z zawodu wariatem. Kilka swoich drogowennych lat spędził w Kulparkowie. Kilka lat poświęcił na pobyt u Jana Bożego. Pozostałe okresy swego życia dzielił równomiernie między Błotnicę i wsię pobliskie, zabawiając ludzi tysiącem wariackich kawłów.—Był przed chłopaków lubiany i — normalnie mawialo się: nie bądź Heromek...

Latem wariat „płatał” się po lasach. Zachoził od czasu do czasu na płacówkę. Można by

ło pośmieć się z niego i pogadać z nim o niebieskich migdałach.

Poza tym Heromek miał zasługę rozładowania niebezpiecznej obławy ss-owskiej koło Dziadka.

Nie pamiętam dokładnie okoliczności, w jakich się to działo. — Dość na tym, że zamiast łącznika idącego na płacówkę, za którym żandarmi pobiegli w zagajniku, wpadł im w ręce Heromek. — Chrapał sobie smacznie pod krzakiem, a obudzil się na odgłos gwałtownej strzelaniny. — Jak przystało na wariata, podniósł lojalnie ręce do góry i zameldował pomocnik Wyłag, dowódca główny „bandytów” jestem...

Heromeka przywieziono w triumfie do wsi, gdzie sytuacja, ku wściekłości leutnanta, wyjaśniła się.

Swoją drogą szczęście dopisywało wariatu. Inny na jego miejscu byłby już ze dwa razy „rozłupany”.

Ten to Heromek stał się właśnie w specyficznej sytuacji, w okolicy Końskich, „baraną głową”.

Po wsiach koneckich, w których w ostatnim stadium ulokowały się niemieckie sztaby — Wehrmacht utworzył kilka punktów werbunkowych dla „baranich głów”. — Punkty takie były w Odrowążu, w Stąporkowie, w Niekielnie, w Czarnieckiej Górze i innych pomniejszych osadach.

Krzecz prosta, że feldfeble odkomenderowani do akcji, ziewali całymi dniami z nudy i demoralizowali się, spoglądając smętnie na skrzyżki wódki i paczki „Junaków”, które miały być rozdane zgłaszającym się ochotnikom.

A ochotników jak nie było, tak nie było. — Tuteż można sobie wyobrazić „Jubel”, jaki urządzone w Stąporkowie, kiedy zjawili się pierwsi polscy „kandydat na bojownika i obrońcę nowej Europy”.

Trudno wyjaśnić, co Heromeka na drogę zdrady popchnęło. Najprawdopodobniej kłótnię z chłopców strzelił do głowy pomysł, by zrobić z wariata Wallenroda.

Byłoby to i dowcipnie i komiczne, gdyby Heromek nie przepelcił wariackiej kpiny z Niemców własnym życiem. Wówczas, tak, mo było pisanie. Przepłynął cały ocean okupacji, a utopił się w strumyku.

Heromek zameldował się u Niemców któregoś pięknego zimowego popołudnia z konkretnym zamiarem „kollaboracjonistycznym”.

W punkcie, na którym zgłosił się, przyjęto go z honorami. — Szczęszone go przez bite kilka godzin, nakarmiono należycie i uglo, po czym ochotnik, otrzymawszy kilkudniowy urlop dla uregulowania spraw rodzinnych, wrócił na wieś, nosząc za paszucha litr wódki i kilka setek papierosów.

Niestety, Heromek nie pojął konceptu chłopca, który wysłał go do Stąporkowa. — Wariat zaczął sam rozumieć własnym rozumem. Powodzenie uderzyło mu do głowy.

— I to za kilka dni Czarna przeżyła uroczystość przyjęcia pierwszego „legionisty”. W kilka dni potem to samo zdarzyło się w Odrowążu — Nie trzeba dodawać, że „bohater” dywizji „Baranich Główn” faszowal wszędzie alkohol i palenie.

Gdyby nie to, że w okolicy akcji werbunkowa leżała całkowicie i jakaś komenda nadzorczą zarządziła inspekcję — do tragedii by nie doszło.

Feldfebla, któremu powierzono sprawdzenie — aderzyło powtarzające się na kilku bliższych sobie punktach werbunkowych jedno i to samo nazisko.

Przydzielono poszczególnym punktom tłumacza, odpowiednio znających język polski — i pewnego zimowego poranku Hieronim Wyłag stanął w obliczu plutonu egzekucyjnego pod murem wieżennym w Końskich... Jako jedyna „baranía głowa” ziemi koneckiej i prawdopodobnie jako jedyny Polak, osadzony według ordę w tym obozowisku niemieckich, w klasztorach tu w miś obwieszczenia Komendy Główniej Wehrmachtu.

— Niebawem zbliżył się front — i dlatego historia Heromeka, związana ściśle z kroniką „baranich głów”, minęła w okolicy bez echa.

Inne „baranie głowy”, których oddział „pełnił służbę w okolicy Końskich, w klasztorach tu w miś obwieszczenia Komendy Główniej Wehrmachtu. — Pewnie i z nimi ma po dziś dzień nasze Bezpieczeństwo kłopoty). — Niektóre zwiały z chwila rozpoczęła się ofensywa do Niemiec.

Taka jest kronika niesławnej dywizji, nieślawnych bojowników polskich o nową Europę. Tak, tak, daszcie dywizji „Baranich Główn”, wyciągniętej z zapomnienia.

Andrzej Piwowarowicz



Wiosną tego roku przyjeżdżam do Szanghaju. Na pozór nie się nic zmieniło. Ten sam szum i gwar, te same zacinane sklepy, gdzie można dostać jedwabie, tkanę w wieble, kolorowe kwiaty, malowane wachlarze, rzeźbione w słonowej kości figurki bogów i zwierząt i szkatułki z kamforowego drzewa. Przed sklepami na ulicach — ten sam wie, lożyceczny tłum Europejczycy. Niemnielo, bez słowa, stoją we wtepek bram chińscy bedzarsa. Nie proszą o jabłuszka, żądają oczami. Brzegiem jedni biega wycubidi, łechcącymi okryci. Ledzie rękami swoje maie, dwukolowe wożki. To riksze. Takim był Szanghaj, gdy go widziałem po raz pierwszy, takim jest na pierwszy rzut oka i dziś. Ale wystarczy przejść się dłuższą po ulicach, zajść do kilku sklepów, przeczytać gazety, by pojąć, jak głębokie ślady zostawiła tu długoletnia wojna.

Japenia skapitulowała w 1945 roku. Wojna w Chinach trwa mimo to nadal. Jest to wojna wewnętrzna, jaką widzieć wspomagana przez Stany Zjednoczone reakcja przeciw chińskiemu narodowi. Naród jest zmezczozy, nie chce wojny. Nie chce również i reakcji, jakakolwieką flagą by była okryta. W CHI, nach jest niedza i głód. Pieniądz z dnia na dzień traci na wartości. Chleb, który 5 lat temu kosztował 10 centów — dziś kosztuje 600 dolarów. Naród chce pokoju, pracy i chleba. A przede wszystkim chce by opuściły Chiny stacjonujące tam amerykańskie wojska.

Widziałem stylizowaną demonstrację robotników, bezrobotnych i studentów. Nieśli transparenty: „Przec z wojna domowa”, „Wara od Chin”, „Amerykanie, wracajcie do domu”, „Dajcie nam chleba, zamast armii!”.

Długi lancuch amerykańskich wojennych okrętów otacza wielokilometrową taśmą szanghajski port. Gdy zalogi zwolnione zostaną na ląd, ulice Szanghaju przypiętne są amerykańskimi marynarzami. Kobiety nie odważają się wówczas wychodzić same bez mężczyzny. Marynarze są pijani.

Jadłem raz obiad w pewnej niewielkiej restauracji. Goście spokojnie siedzieli przy stołach, niekiedy grając jakiegoś chińskiego kafeleku. Nagle wpadło na nas pięciu amerykańskich marynarzy. Zatacając się, podszedł do bufetu i zajął wina. Lokal od razu opustoszał. Zostali tylko mężczyźni. Amerykanie usiedli przy opróżnionym stole. Jeden z nich krzyknął do orkiestry, by grała fokstrota. Muzycanci usłuchali. Drugi chwycił przechodzącą kelnerkę i zaczął tańczyć. Był pijany, upadł.

Właściciel restauracji podszedł do marynarzy z grzecznie poprosił ich o opuszczenie sali. Ci czekali tylko na powód. Nakrycie spadło na posłone, przewrócono stoły. Połeciali krzesła. Dwa marynarze wyciągnęli rewolwery, przardzieli się do kasy i kazali oddać pieniądze. Połem ze słowami „wszy, stko w porządku” — opuścili restaurację.

Szpitalnicy gospodzą czasu nie zawładomi polcją. W odwodzie machnął tylko bezradnie ręką. Wszedł dni później byłym świadkiem tego giego dzikiego i brutalnego epizodu, który dobitnie charakteryzuje zachowanie się żołnierzy amerykańskich w Chinach. Było to późno wieczorem. Wracalem do domu. Po pastej o tej porze ulicy szło, polykając się, trzech amerykańskich żołnierzy. Po drugiej stronie (jednej łasczy) swoją kolaskę, wy. patrując pasażerów, riksza.

Amerykanie zauważyli Chińczyka i wycepatwazy swój zapas przedzeństw, postanowili się przejechać. We trzech wlecieli w riksze przeznaczony dla jednej tylko osoby i kazali ruszać. Chińczyk prosił, tłumaczył że nie ma tyle sily, że jest już bardzo, bardzo zmęczony. Wtedy żołnierze wysiedli, przewrócili kolaskę i polamali ją. Riksza rzucił się do ucieczki. Napróżno. Amerykanie dogmgnli go i zaczęli kopać i bić Riksza podniósł broń. Żołnierze porzucili nieszczesnika, ale gdy ten wzrwał zaczął uciekać poleciały za nim kamienie. Chińczyk upadł. Zadowoleni z rozrywki żołnierze poszli dalej. Spiewali śpiewki.

Podobne incydenty zdarzają się w Szanghaju codziennie. Amerykanie biją riksza za to, że trzeba mu zapłacić za trud, za to, że medność szybko biegne, za to wrzeszcze — o! po prostu dla samego bicia.

Odwiozłem pobitego riksza do szpitala. Przyjeło go dopiero wtedy gdy wniosłem opłatę za kurację. Taki porządek. Bez szpitala chorego nie przyjmą, nawet w najkiszszym stanie. Wspomniałem gorzki żart szanghajskich biedaków, którzy mówią, że śmierć kosztuje ich drożej niż życie.

Riksza — człowiek-iron, w Szanghaju jest ich wiele tysięcy a w całym Chinach ponad 4 miliony. Zwrabiają tak mało, że żaden z nich nie posiada własnej kolaski. Dzierżają je u bogatych przedsiębiorców, którym oddają większą część swego skromnego za robku.

Riksza żyje zawsze o głodzie. W ciągu dnia polyka dla polezczenia sił kilka wzmocniających tabletek. Po 5 — 8 latach staje się inwalidą.

Szanghaj — miasto kontrastów. Tu są dwukilometrowe gmachy i oburza zjazd zakłouszych leplanak w chińskich dzielnicach. Tu chodzą po ulicach bogato ubrani „biłli” (w Szanghaju jest około 80.000 europejczyków) — i chińscy biedacy, ledwie zaslanający zmatłami swoją smutną nagodę. Tu obok wyszminek restauracji setki ludzi umiera codziennie z głodu.

W centrum miasta stoją wspaniałe pała, ce, domy handlowe, pełne wszelakiego dobra, ale wystarczy odejść kilkaset kroków w stronę rzeki, by otworzył się oczom wstrząsający widok. Tu, na rzeczu, znajdują się „mieszkanie” chińskiej nędzy. Na przylmocownych do brzezu lub pływających swobodnie dżonkach żyją ludzie. Trzy, cztery rodziny na każdej dżonce — mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy. Zimą w dżonce chłod-

no, latem duszno i ogarydy rok jednakowo straszliwie.

„Ludzie rodzą się żyją, chorują i umierają na dżonce, która przechodzi kolejno z ojca na syna. Zarabiają na kawalek chleba, przewożąc przez rzekę pasażerów lub ładunki. Wlecząca część swego życia są głodni. I chorują, chorują na wszystkie choroby, jakie zna i jakich nie zna medycyna...”

Nankin — rośl, oficj Szanghaju. Tu mieszczą się kantory firm handlowych zagranicznych i chińskich, hurtownie, magazyny...

Składy, półki zawalone towarami. Stany Zjednoczone noszący chiński rynek swymi wyrobami, pocytnajace do szpilki, kończąc na samochodach. Chiński przemysł, nie mogąc konkurować z amerykańską standardową produkcją, został dosłownie zniszczony.

W Szanghaju kwitnie spekulacja. Czarny rynek zapamiętają towary rozkradzione ze składów UNRRA i dosłownie przez korbabande. Korbabanda zajmują się przede wszystkim marynarza amerykańscy — wo, jennej; handlowej floty. Chincy urzędnicy czini umieją przy kontroli amerykańskich okrętów w porę przymknąć oczy. Korupcja i łapownictwo zakonczyły się tak głęboko, że za pieniądze można mieć wszystko, co się chce i wykupić się z każdego przestępstwa.

W Szanghaju kwitnie bandytyzm. Uliczne napady, rabunki z bronią w ręk, mordstwa — zwykłe zdarzenia.

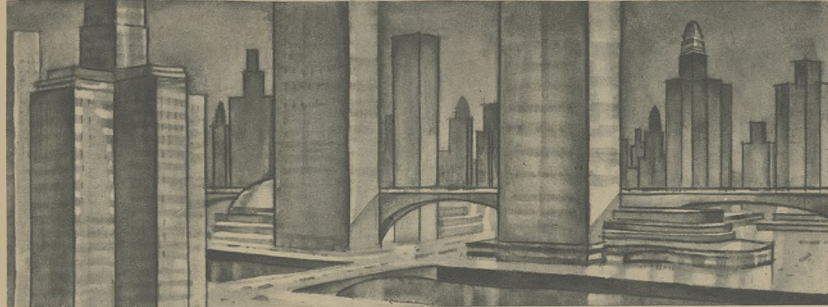
Jedyna rozrywka kulturalna w Szanghaju — to kino. Jest naprawdę i opera, ale przedstawienia bywają nie częściej, niż raz na miesiąc, a sala teatralna mieści zaledwie 600 widzów. W kinach widzi się wyłącznie amerykańskie filmy, przede wszystkim — awanturnicze.

Stacjonujący w Szanghaju Amerykanie zabijają czas wędrując po restauracjach, barach i kabarelach. Niezadko organizują sobie dla i rozrywki widowiska, których ofiarą padają nieszczęśli Chińczycy. W pa, stwieciu się nad nimi, w odbieraniu ich z człowieczej godności — szukają Amerykanie uciechy.

Pewnego razu odbyły się w Szanghaju biegi rikszy — „riksza-derby”. Jacyś sprytni gospodarze znaleźli głodnych Chińczyków chietnią wręczką nagród, wybrali spośród nich 25 najbardziej wytrzymałych i urządzili sobie zabawę. Start był na brzegu rzeki. W kolaskach siedzieli wystrzone ko, biety. Dobytując reszek sił, riksze biegli 5 kilometrów. Za nimi jechały auta organizatorów wyścigu. Nastroj był taki, jak na wyścigach konnych. Robiono wysokie zakłady.

Na finisz amerykański pułkownik wręczył zwycięzcy skromną pieniężną nagrodę. Pozostawim rikszoznów również i tym, którzy nie mieli już sily dowieść się do mety, zaoferowano — pomoc lekarską.

Ja to widziałem. I słyszałem pełen brzeznej gorczyce okrzyk stojącego obok mnie Chińczyka: — Bravo, Amerykon!



SZKLANE DOMY

Szklane domy przyszłości! Mimo pięknych wizji poetów, reformatorów i budowniczych, robi się człowiekowi na myśl o zamieszkanu w takim domu trochę niewyrażnie: gładkie, śliskie szkło nie uchroni od zimna, przezroczyste ściany odkryją obcom oczom każdy szczegół twój życia, twój spokój i sen zamęci nieustanna obawa, że lada chwila cała ta misterna, połyskliwa budowla rozleje się i rozleci na kawałki, jak rzucana na podłogę szklanka...

Trzydzieści lat temu człowieka, który zajmował się wyrobem szklanych sprzętów, zamknęli w domu wariatów. Dziś szklane sprzęty znajdują zastosowanie w precyzyjnych aparatach i przyrządach, w których obecność kwasu nie pozwala na wykorzystanie metalu. Szkło dzisiejszej techniki przestało być dawnym, kruchym, lamliwym szkłem...

Encyklopedia powiada o szkle: „Do wyrobu szkła używa się krzemionki...”. Dziś w lepszych szklach optycznych krzemionki nie ma w ogóle. Znalezione inne sposoby otrzymywania szkła, najroznorodniejszych jego odmian, o rozmaitych, zadziwiających niżej, właściwościach.

Są szkła, w których gładzie prawie 85% promieni świetlnych. Są szkła niewrażliwe na temperaturę i na silne nawet uderzenia. Oto leży przezroczyste, szklany sześcian. Człowiek bierze ciężki młot i ze wszystkich sił uderza w szkło. Mimowolnie ręce zakrywiają oczy: teraz na wszystkie strony popłynęły tysiące drobnych, ostrych szkiełeczek. Można odmalować oczy spowrotem. Szklany sześcian stoł, jak stal, nie ma na nim nawet pęknięcia, nawet znikomej rysy. A oto w szklane naczynie włożono żelazną sztabkę i postawiono w silnym ogniu. Dzieje się rzecz dziwna, niepojęta, niezwykła: w nie naruszonym przez ogień szkle bulgocze płynne żelazo... Fantastycznie wygląda szklany piec — widać, jak pali się węgiel, jak dym wznosi się do góry, człowiek: bezwiednie odświadcza się w najbliższy kąt, bo to wszystko przelecia za chwilę roztopi się rozwałki... A! piec ze specjalnego, trudnoopłowego szkła wytrzyma i nie taki podobny!

Już dziś możemy znaleźć szkło do materiałów budowlanych. Pewnie jego gatunki, szczególnie trwałe, łączą się doskonale z betonem. Być może, niedługo jest czas, gdy zamiast konstrukcji żelazo-betonowych, będzie-

my mieli znacznie od nich lepsze konstrukcje szklano-betonowe!

Cegła przyszłości: sklejony z dwu płoźnych wewnątrz części szklany blok. Przepuszcza światło, a równocześnie dzięki zawartemu powietrzu jest doskonałym izolatorem ciepła. Przepuszcza światło, a mimo to zzewnątrz nie widać, co dzieje się w pomieszczeniu. Całymi, od sufitu do podłogi przezroczystymi jak kryształ ścianami patrzy w świat szklany dom przyszłości.

Coraz nowsze, coraz bardziej zadziwiającej pozieje zdobywa sobie szkło. Szklane płyty pateronowe, czyste i czulsze od zwykłych, szklane noże — trudno już dziś znaleźć rzeka, która nie dalaby się sporządzić ze szkła lub zastąpić szklanym przedmiotem. Jaki pas ratunkowy, korkowy czy szklany, wybrałby człowiek, gdyby mu przyszło płynąć na otwartym morzu, walcząc o życie? Napewno korkowy. Nie pomyślałabyś nawet, że szkło może mu tu lepiej posłużyć niż korek. Pasy ratunkowe sporządzane są ze szkła, złożonego z mnóstwa maleńkich, napełnionych powietrzem pęcherzyków, dzięki którym doskonale utrzymują się na powierzchni wody. Ten rodzaj szkła posiada zresztą rozmaite, bardzo liczne zastosowania, przede wszystkim jako najlepsza, ogniotrwała, higieniczna izolacja cieplna.

Czy wiesz, co to takiego „stalinit”? To szkło, które w ostatniej wojnie służyło radzieckim samolotom, jako broń ochronna. Nie przebieg tego szkła ani kula, ani odłamki pocisku. W czasach pokoju zaczęto ze stalinitu wyrabiać szklanki. Taką szklanką można przybić gwóźdź, jeżeli pod ręką nie ma młotka. Można ją rzucić na podłogę — brzęknie tylko cichutko i zostanie cała, jak była. Można taką szklankę postawić na ogniu i zaraz potem położyć w lód — nie jej się nie stanie. Jednym słowem, byłoby dobrze, gdyby wszystkie w ogóle naczynia, szklanki, talerze, butelki — robić ze „stalinitu”.

W ostatnich latach rozpoczęto na wielką skalę produkcję szklanych włókien. Włókno grube produkuje się przede wszystkim dla izolacji cieplnej, włókno cienkie służy rozmaitym celom. Potrzebne jest ono i rybakowi i lotnikowi i fabryce tekstylnej. W przemyśle chemicznym włókno szklane jest znacznie użyteczniejsze niż metalowe, jest przy tym o wiele od niego tańsze. Z ogniotrwałych włókien szklanych robi się teatralne za-

ślony, są one bowiem najlepszym tłumikiem wszelkich dźwięków i nie przepuszczają żadnego szumu z pomieszczeń, gdzie pracują maszyny. Warstwa szklanych włókien jest nie tylko niezastąpionym izolatorem dźwiękowym, ale również i doskonałym izolatorem ciepła. Pokład włókna grubości 2,5 cm chroni od zimna tak samo dobrze, jak ściana grubości 2,5 cegły.

Włókno szklane jest coraz bardziej udoskonalane i coraz więcej jest dziedzin, gdzie znajduje zastosowanie. W jednym z moskiewskich kin ekran sporządzony jest właśnie ze szklanego włókna. Ani jeden widz nie przepuszcza, że cienie bohaterów filmu ślizgają się przed nim po szkle...

Z krótkich włókien szklanych robi się ciężką, grubą tkaninę, t. zw. „szkiany wójlok”, który może służyć, jako materiał dla panów transmisyjnych, węzłów przeciwpożarowych itp. 5-centymetrowa warstwa „wójloku” chroni od chłodu tak, jak metrowa ściana z cegły.

Delikatne, wzorzyste, podobne do dawnych gobelinów obicia, miękkie, puszyste kołnierze, ubrania robocze dla górników i chemików — to wszystko da się dziś sporządzić ze szkła.

Nasze zwykłe szkło nie przepuszcza ultrafioletowych promieni, nadzwyczaj ważnych dla zdrowia. Szklane domy przyszłości uwzględnią to, przygotowując szkło przezroczyste dla zyciodajnego ultrafioletu. Będą w tych domach pokoje, w których będzie się można opalić, jak na plaży... Będą w nich również pokoje, tak oszklone, że nie przedostaną do nich gorące promienie infraczerwone, które czynią tak niezdrowe przebywanie latem w pomieszczeniach, wychodzących na słoneczną stronę...

W szklanych domy przyszłości będzie w dzień jasno, słonecznie, przestronno. Nocą bliszczące kłami drzewi, guziczki kontaktów elektrycznych, karafki, szklanki, balustrady i stopnie schodów przemienią się w mgliste, połyskliwe majajki, migoczące w porażającym w ciemności domu...

Nie trzeba obawiać się, że w szklanych mieszkaniu przyszłego człowieka będzie zimno, nieprzytulnie i niemilo. Przeciwnie. Do dyspozycji obywatela miasta ze szkła staną udogodnienia, o jakich dziś można tylko marzyć...

23-letni murzyn, John Henry Riney, obrazil białą kobietę. Szpaler żołnierzy z najeźmiami bagnietami broni go przed zemstą tłumu na drodze z więzienia na salę rozpraw, gdzie na podstawie swych zeznań skazany zostanie na karę śmierci.



Ulica Erenburg - BIAŁI i CZARNI

(Dokończenie)

Delta Missisipi to plantacje bawełny. Ziemia należy do białych, którzy ją wydzierżawiają czarnym. „Dzierżawcy” muszą oddawać połowę zebranej bawełny właścicielowi ziemi i są zobowiązani do sprzedania mu drugiej połowy, przy czym cenę ustala właściciel ziemi, a groźne jakie murzyni otrzymują, mogą wydać tylko w sklepiku, który należy do tego samego właściciela. Może być, że dla amerykańskich prawników to „dzierżawa”, ale w rzeczywistości to niewolnictwo. Widziałem właścicieli ziemskich — to oni przecież handlują obwiłem, naftą i rolą. Przypomniły mi się obrazy, które kiedyś naklejało na pudełka od cygar — właściciel niewolników z batem i psie murzynki na plantacjach... Przy mnie taki właściciel popętał krzykiem starych murzynów: „Hej, John, przedź!”

Wszedłem do lepianki, gnieździ się w niej dwudziestu ludzi, śpią pokotem. O, jak stąd daleko do osławionej amerykańskiej techniki. Do sztucznego chłodnego powietrza, hiper-komfortu! Tu nie ma czym oddychać, hehmany i żaduch. W superhighgimose Ameryce ludzie żyją zwierzęcym życiem. Jakaś murzynka opowiadała mi, że jej siostra zmarła podczas porodu; wezwać lekarza znać nie mógł — zarabiał sto osiemdziesiąt dolarów rocznie, a lekarzowi trzeba było zapłacić sześćdziesiąt. Widziałem siedmioosobową rodzinę — wszyscy razem zarabiali trzysta dolarów rocznie, inna rodzina czterooosobowa zarabiała rocznie dwieście dolarów. Właściciel plantacji należał do drobnych plantatorów. Skarżył się, że zarabiał rok był niewydany. Spytałem go, ile zarobił w ciągu roku. Odpowiedział: „Bardzo mało — wszystkiego dwadzieścia pięć tysięcy dolarów...”

Jeden z właścicieli niewolników w Luizjanie powiedział: „Pan nie zna murzynów — żyją, jak w raj, niczego im przecież więcej nie trzeba...” Szkoły przy plantacji nie było, za to urzędowano dla murzynów kościół z czarnym pastorem. Umierając od pracy ponad siły, starzy siwi murzyni śpiewają Alleluja. Pewien murzyn powiedział mi: „Wierzę, że na drugim świecie są dwa raje — dla białych i dla czarnych i że raj dla czarnych nie jest gorszy...” Ten murzyn nie mógł sobie wyobrazić nawet raju bez podziału na rasy.

Smutnie milczeli moi towarzysze podróży — i Bill Benedyktowicz i Daniel Horacjewicz i Sem Noenowicz. A właściciel niewolników zmieszany mówił: „Jedźcie orzechy! Pićcie whisky! Świętnie, że rosyjski gość przyjechał do nas. Przecież w Rosji także jest bawełna?...” Patrzyłem na jaskrawo-żółtą rzekę, na szeroki Missisipi. Wiem, co to jest ludzki smutek, a mimo to na brzegach tej rzeki nie mogłem znaleźć odpowiednich słów: wstydziłem się ludziom patrzeć w oczy.

W ostatnich latach Południe zmieniło się: powstały duże przemysłowe miasta. Patriarchalne i romantyczne są jeszcze Livingston albo Kachez. Ale Birmingham przypomina już przemysłowy ośrodek Północy: takie same fabryki, taka sama Men-Street. Niesłusznie w Waszyngtonie obrażali południe: komfortu jest na Południu dosyć.

W Birminghamie znajdują się ogromne fabryki metalurgiczne. Nowoczesne urządzenie, wśród robotników jest wielu czarnych i oto wydaje ci się, że jesteś na plantacji bawełny — pohnadlowcom udało się polączyć ultranowoczesne maszyny z dawnym niewolnictwem. W fabrykach murzyni spełniają najcięższą pracę — nie mogą być ani hutnikami, ani mechanikami, ani elektrotechnikami. Niewykwalifikowany robotnik — murzyna otrzymuje za godzinę o piętnaście centów mniej niż biały niewykwalifikowany robotnik.

Razim przeniknął do mas robotniczych w Ameryce. Dużo tu ciemnych ludzi, którzy umieją obchodzić się z lodowłnami, ale myślenie nie umieją. Mówią np.: „Niech już gospodarz dobrze sobie zarabia, nam także się dostanie...” Nie są jeszcze klasowo świadomieni.

Na czele wielu związków zawodowych stoją awanturnicy, albo sprzedajni demagogy: ludzie ci wzmawiają w robotników, że nieszczęściem jest nie chciwość białego właściciela, ale — czarna skóra wygłodzonych „konkurentów”. W latach wojny brakowało roboczych rąk, do fabryk Północy brano murzynów, starając się na tym wyskazać tyle to a tyle dolarów — murzyni są tańsi. I gniew robotników kierował się nie przeciwko białym eksploatatorom, lecz przeciw nieszczętnym murzynom. Dopiero niedawno powstały postępowe zwią-

ki zawodowe, które jednakże robotników białych i czarnych. Ale takie związki zawodowe nie wszędzie istnieją. Inne zaś — zjednoczenia rasistowskie — nie chcą dopuścić murzynów do wykwalifikowanej pracy. Były już na tym tle i strajki i prawdziwe pogromy.

W Birminghamie robotnicy — murzyni żyją w gęźdy i w odosobnieniu. Murzynskie ghetto składa się z lepianek. Nad murzynami wisi przekleństwo samotności. To — wydziedziczenie. Byłem u pewnego murzyna, przewodniczącego „czarnej” sekcji postępowego związku zawodowego, człowieka odważnego i myślącego. Uderzyła mnie w nim ta mądrość, która przychodzi z latami gorzezy i walk. Udało mu się niedawno włączyć murzynów do Związku Zawodowego. Spytałem go, jakie są jego stosunki z białymi towarzyszami. Odpowiedział: „Podczas pracy dobre”. „A czy bywacie u kogoś z nich? Czy przychodzą do was biali towarzysze?” — „Nigdy”.

Według konstytucji Stanów Zjednoczonych mają prawo wybrać udział w wyborach wszyscy obywatele i obywatelki, niezależnie od tego, jakiej są rasy. Jednakowoż murzyni w stanach południowych pozbawieni są prawą głosu. Stan Alabama liczy trzy miliony mieszkańców, z tego — milion sto tysięcy murzynów. A wyborców jest w tym stanie czterysta dziewięćdziesiąt sześć tysięcy białych i cztery tysiące murzynów. W Birminghamie jest pohnadletach murzynów sto trzydzieści tysięcy, a na listach wyborczych wszystkiego tysiąc czterdzieści murzynów — na stu murzynów pozwała się głosiwać jednemu. W stanie Missisipi murzyni stanowią połowę ludności — i połowa ludności stanu pozbawiona jest prawą głosu.

Jak południowe stany obchodzą przepisy federacyjnej konstytucji? Sposobów jest wiele. Po pierwsze, podatek, jaki ściągają się z głosujących. Murzyni na Południu to niezaradne, dla nich kilka dolarów to majątek. Murzyn wiele lat marzy o Harlemie, jako o nieosiągalnym raj, gdyż wie, że nigdy nie ubiera na bilet kolejowy. Jak może murzyn opłacać podatek wyborczy? Oprócz podatku, zaprowadzone są egzaminy. Wyborca powinien „rozumić konstytucję”. Jasne, że „egzaminatorzy”, zwolennicy reżimu, obcinają wszystkich murzynów. Słyszałem, że pewnemu murzynowi — profesorowi okazano na „egzaminie” rozmaite dokumenty, domagające się, ażeby je „skomentować”. Wreszcie „egzaminator” dał mu gazetę chińska: „Czy wie pan, co tu pisze?”. „Wiem — odpowiedział profesor — tu pisze, że nigdy nie dopuścicie murzynów do urn wyborczych”. W końcu, jeżeli murzyn uścił podatek i zdał „egzamin”, stróż niewolnictwa potrafił palkami odstraszyć nieproszonego wyborcę. Co tu dużo mówić, na Południu umieją „komentować” konstytucję!

Przypominam sobie, jak niektóre amerykańskie gazety oburzały się na Jugosłowian. Rząd frontu ludowego pozbawił prawą głosu osoby, które pomagały okupantom — około dwustu tysięcy ludzi skreślono z list wyborczych. Amerykanie protestowali: „Jakież to powszechne wybory? Ci sami Amerykanie uważają za całkiem naturalne, że miliony amerykańskich murzynów (wiele z nich walczyło o wolność Ameryki) są pozbawione prawą głosu. Nie pozostaje mi nic innego, jak zapytać Amerykan: Co jest sprawiedliwsze — pozbawienie prawą głosu człowieka o czarnym sumieniu, czy o czarnej skórze?”

Obrońcy rasowych dyskryminacji mówią: „Nie należy zaprowadzać równoprawienia murzynów, gdyż murzyni są niekulturalni”. Istotnie, rasści robią wszystko, aby pozbawić murzynów oświaty. Bill Benedyktowicz Nelson dużo mówił w Nowym Jorku na temat

oświaty ludowej: „Do lat szesnastu wszyscy Amerykanie obowiązuja za uczęszczanie do szkoły”... W stanie Mississippi Bill Benedyktowicz nie mówił już więcej o ludowej oświacie. Widzieliśmy wyrostków, którzy nie umieją czytać, widzieliśmy dzieci czarnych, które nigdy nie były w szkole, które od dzieciństwa znają tylko jedno — katorżnicze prace.

Nie można powiedzieć, aby właściciele niewolników bronili kultury dla białych: oni w ogóle stawiają wyżej bat od elementarza. W stanie Mississippi nauczyciel to nędzary — rocznie otrzymuje sześćset dolarów. Co się zaś tyczy nauczycieli, którzy uczą czarnych, to nie tylko biedują, ale muszą się jeszcze poniżać przed białymi. Kiedy biały inspektor przyjeżdża do szkoły dla czarnych, zwraca się do nauczyciela po imieniu: „Hej Bill!” „Hej, John...” — nawet jeżeli inspektor ma lat dwadzieścia, a nauczyciel — pięćdziesiąt. A nauczyciel powinien odpowiedzieć białemu z szacunkiem: „Słucham pana, mister Smith...”

Kiedy w stanie Alabama wszystkie pieniądze, przeznaczone na oświatę ludową, przekazano białym. Dla spokoju sumienia wezwano profesora murzyna i zaczęło mu wyjaśniać: „Budżet ograniczony, pieniądze już się rozszły, będziecie się musieli obejść...”. Murzyn mądrze odpowiedział: „Macie rację — tu oświata potrzebna jest bardziej białym”.

Spotkałem na Południu dużo wykształconych murzynów — uczonych, pisarzy, lekarzy, nauczycieli, adwokatów. Czy trzeba dodawać, że na te Południa, gdzie tylko jest biały dziwisz z dyplomami i kulturowymi murzyni wydadzą się jaszmyi postaciami? Odwiedziłem redakcje murzyńskich gazet gdzie entuzjaci, którym każdej chwili grozi rozprawa, bronią praw człowieka.

W prywatnym uniwersytecie Fisk znajduje się siedmiuset studentów — murzynów i murzynek. Będą oni lekarzami, nauczycielami, adwokatami, ale będzie im wolno leczyć tylko murzynów, uczyć tylko czarne dzieci i występować w sądzie tylko wtedy, gdy sądzi się „kolorowego”. Profesorowie — murzyni nie mają prawa wstępu do biblioteki publicznej. Profesor Brodi, znany chemik, mówił mi, że nie wolno mu pracować w laboratorium państwowego uniwersytetu. Spędziłem w uniwersytecie Fisk kilka wspaniałych godzin, widziałem młodzież, która szuka prawdy. Uczy się tam dziewczyna, która mówi po rosyjsku — jest na pół Rosjanką: matka — odesytką, ojciec — murzyn. Jest jasna i nie wygląda na murzynkę, ale w jej pasporcie figuruje: „kolorowa” — i wszystkie drzwi są dla niej zamknięte.

W Nowym Orleanie zaznajomiłem się z pewnym architektem. Był to rudy, piegawaty człowiek. Okazało się, że jest miłym rozmówcą, zadziwił mnie rozległością swojej wiedzy. Zaprosiłem go do kawiarni — odmówił, nie podając przyczyn. Potem przyjaciele wyjaśnili mi, że architekt znany jest w mieście, jako „kolorowy”, nie ma więc prawa wstępu do kawiarni.

Sprytni właściciele gazet drukują kilka specjalnych kolumn dla murzynów. Białe do tych stron nie zajrzy. Jeżeli biały rozwinię na ulicy murzyńską gazetę, zostanie uderzony albo znieważony. Jeżeli biały publicznie oświadczy, że czarni, to są tacy sami ludzie, jak biali, zostanie zabity.

Sądownictwo na Południu niewiele różni się od prawa Lynchu.

W Pensilwanii murzyn jechał tramwajem i o kilka cali przekroczył granicę, oddzielającą miejsca dla białych od miejsc dla czarnych. Konduktor zranil murzyna, który rzucił się do ucieki. Dopędził go zandarmi i dobili murzyna. Sędzia oświadczył, że w przykładnym

ukaraniu bezcelnego murzyna, który zajął miejsce przeznaczone dla białych, „nie znajduje się cech przestępstwa”. W mieście Kolumbia biali urządziłi pogrom, zabili dwóch murzynów, a dwunastu ranili. Sądowi przekazano nie napastników, ale pokrzywdzonych — trzydziestu murzynów. Oni nikogo nie zabili, natomiast winni są tego, że ich nie zabito.

Murzyni na Południu nigdy nie są sędziami przysięgłymi i sądy Południa nigdy murzynów nie uwięniają. Ale jeżeli na ławę oskarżonych przypadkowo trafią ludzie, którzy popełnili nad murzynami samosąd, powszechnie wiadomo, że zabójcy zostaną uwięzieni. Linczowanie na Południu to piknik, rozrywka. Na linczowanie wyjeżdża się z sandwiczami i whisky. Zaden murzyn nie może na Południu spokojnie zasnąć — nie wiadomo, czy za godzinę nie powieszą go na drzewie. Kiedy w tym czy innym mieście od dawna już nie było wypadku linczu, murzyni trapią się: kto będzie najbliższą ofiarą? Wiele razy słyszałem rozdzierającą serce pieśń murzyńską, która nazywa się „Dziwny płód” — jest to pieśń o powieszonym murzynie, którego kołysze wiatr.

A umieją nie tylko wieść, ale i ślać po stronach. Kiedyś właściciele niewolników mieli tylko bat, dzisiaj zaopatrzyli się w „ideologię”. Na czele rasistów stoi senator Bilbo. Wybierają go biele mieszkańcy Missisipi — czarni pozbawieni są prawa głosu. A biały wybierając Bilbo dąży, aby być czarnym. Senator Bilbo — rudy demagog z czerwonym nosem — na wiecach wyborczych pije mleko, a w kulaarach pociąga whisky. W młodości Bilbo domagał się wysiedlenia z Ameryki wszystkich murzynów bez wyjątku. Ładnie by wyglądali właściciele niewolników bez niewolników! Zresztą, wszyscy rozumie, że Bilbo mówi o wysiedleniu murzynów do Liberii dla krasomówstwa. Biali nie chcą utracić taniej siły roboczej, ale obawiają się, że murzyni mogą nabrać śmiałości i zająć dać praw. Biali są za senatorem Bilbo, gdyż są za batem, za katą, za linczem.

Gdy Japończycy napadli na Stany Zjednoczone, biali zdecydowali, że czarna skóra nie może być przeszkodą w mobilizacji. Przeszło milion murzynów zmobilizowano do obrony Ameryki. Murzyni dzielnie walczyli z Niemcami rasistami, ale tępotą amerykańskich rasistów prześladowała nawet murzynów-żołnierzy. Kiedyś w jednym transporcie jechali nie-murzyńscy jeńcy i żołnierze-murzyni. Na peronie Niemców zaprowadzono do restauracji, a czarnych żołnierzy skierowano do kuchni. Murzyni zaprotestowali — w parlamencie wystąpił z przemówieniem czarny poseł Zwolano wielkie wiece. Gdzie niegdzie wybuchły bunt. Pewien murzyn odebrał sobie życie na stopniach waszyngtońskiego Kapitolu, dając wyraz swojemu oburzeniu. Gazety doniosły o tym zdarzeniu, ale wątpliwe, czy zdetonowało ono właścicieli niewolników.

Murzyni — żołnierze wrócili do miast Południa. Przekonali się, że w Paryżu czy w Rzymie nikt nie patrzy na czarnych, jak na trędowatych. I nawet najbardziej zafoceni murzyni zrozumieeli, że na świecie istnieje coś bardziej ludzkiego, niż „demokracja” demokraty Bilbo. Jeszcze do niedawna biali uważali czarnych za głupie, lecz dobrodusze bydła. Teraz biali się boją: a nuż murzynom znudzi się śpiewać Alleluja w oczekiwaniu kolejnego powstania...?

Murzyni Północy, korzystając ze względnej wolności, zakładają towarzystwa, wydają gazety. Niedawno zorganizowali kongres. Rozpoczęła się walka „kolorowych” o równoprawienie. Walka ta będzie bardzo ciężka, gdyż rasizm wszedł już w krew Amerykan. Widziałem na Południu i reakcjonistów i zwolenników

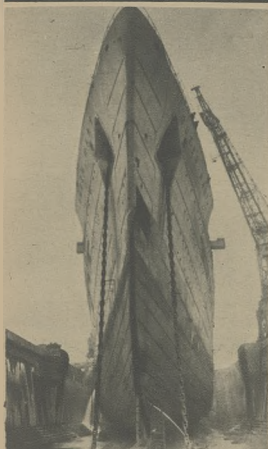
postępu, lecz nawet między ostatnimi nie znalazłem ani jednego, który byłby wolny od rasistowskich przesądów. Jeden z najszlachetniejszych ludzi Południa, zacekły przeciwnik niewolnictwa, obrońca murzynów, opowiadał o straszliwej niesprawiedliwości. Spędziłem pół nocy na serdecznym rozmowie. Zapylałem go w końcu, jaki jest jego osobisty stosunek do murzynów. Zamyślił się i po chwili odpowiedział: „Wie pan przecie, że bronię murzynów. Staram się obchodzić z nimi dobrze. Mamy służyć — murzynkę. Kiedy rodziła, zwozwałem lekarza. A jednak to w moim pojęciu nie ludzie... Wczoraj bawilem się z dzieckiem naszej służącej i nagle przylapałem się na myśl, że bawie się nie z dzieckiem, lecz z miłym szczeniakiem...”

Wiedziałem z ksiązek i gazet jak żyją murzyni w Ameryce. A co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć i odczuć. W Ameryce nie odkryłem żadnej „Ameryki”. Dobrze wiedziałem, co to są drapacze chmur — ślezo to razy widziałem je na ekranie. Ale siedząc w kinie, nie rozumiałem, co to znaczy iść ulicą, kiedy po obu stronach wznoszą się czterdziestopiętrowe domy. Tak i z murzynami — dopiero w Missisipi zrozumiałem, jakimi dzikusami mogą być ludzie z uniwersyteckim wykształceniem i z pierwszorzędnymi odkurzacznymi.

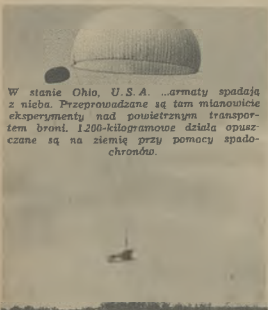
Pewien waszyngtoński dziennikarz powiedział mi: „Jest pan nastawiony antyamerykańsko”... Zdrziłem się: „Dlaczego pan tak sądzi?” — „Przeżyłem pan sympatyzuje z murzynami!” Jak mogłem mu wyjaśnić, że jeśli się sympatyzuje z murzynami, to wcale nie znaczy, że jest się antyamerykaninem, ale przeciwnie, że jest sympatyzuje z Amerykanami i pragnie, aby stali się więksi, bardziej ludzcy, no i rozumiejsi...



NOWOŚCI TECHNIKI



Największy statek świata — „Queen Mary” — znajduje się obecnie na suchym doku w Southampton, gdzie zostanie przebudowany dla celów cywilnych.



W stanie Ohio, U.S.A. ...armaty spadają z nieba. Przeprowadzane są tam mianowicie eksperymenty nad powietrznym transportem broni. 1200-kilogramowe działa opuszczane są na ziemię przy pomocy spadochronów.

KEYSTONE - FOTO SAP



Najmniejsza w świecie radiowa stacja nadawcza inż. d-ra Cleo Brunetti z Waszyngtonu, U.S.A.



JERZY KARCIŃSKI

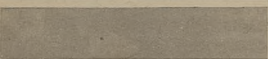
CHROŃMY WITAMINY PRZEZ UMIEJĘTNE GOTOWANIE POTRAW



Ostatnie tygodnie zimowe i wczesna wiosna są dla każdej kobiety, prowadzącej samodzielne gospodarstwo domowe okresem najtrudniejszym.

„Przejadły się” już wszystkim domownikom kłuski i kasza, jarzyny dziwnie „zalatują” piwnicą i są niesmaczne, owoce drogie — trudno obmyślić obiad, który byłby niedrogi a zarazem urozmaicony i zawierający odpowiednią ilość witamin i tak potrzebnych do życia i dobrego samopoczucia.

Brak witamin nie spowoduje wprawdzie odrazu obłężnej choroby — ale przy systematycznym



łycznym bezwitaminowym odżywianiu — po woli opuszczają człowieka siły i energia, — daje się zauważyć zwiększona nerwowość, podatność na wszelkie infekcje, zaciężenia, osłabienie pamięci, wzroku itp. objawy, które przypisujemy przeważnie zmęczeniu. Te pozornie niewielkie niedomagania organizmu są jednak dokuczliwe i przeszkadzają nam w pracy czy nauce.

O witaminach pisze się i mówi tak wiele, że dziś prawie każdy wie, co powinien jeść, żeby zapewnić swemu organizmowi dostateczną ilość witamin. A więc przede wszystkim jarzyny i owoce, ciemny chleb — gdyż białe pieczywo nie zawiera witamin — biały ser i masło, dużo surówek — choćby pod postacią zwykłej, kiszzonej kapusty.

Natomiast niewiele mówi się i wie o tym, że zapewnienie organizmowi dostatecznej ilości witamin zależy nie tylko od tego, co się jada, ale i od tego, w jaki sposób potrawy są przyrządzone. Przez nieumiejętne przyrządzenie potraw, a zwłaszcza jarzyn — pozbawiamy się własnowolnie wielu odżywczych wartości. Po prostu marnotrawnie niszczy witaminy przez: 1) zbyt grube obieranie jarzyn, 2) wadliwy sposób mycia, 3) niepotrzebne przelżywanie w wysokiej temperaturze.

Koniec zimy jest szczególnie krytyczny, bo wiew owoc i jarzyny przechowywane od szeregu miesięcy w domu i w piwnicach — tracą witaminy w dużym stopniu: np. kartofel w kwietniu zawiera 2 razy mniej witaminy C niż w lecie lub wczesną jesienią. Należy więc go

tować jarzyny i kartofle tak, by jak najmniej traciły swe cenne składniki.

Pierwszym wskazaniem — jest cienkie obieranie; np. pod samym naskórkiem kartofla znajduje się b. mała ilość wysokowartościowego białka, które zazwyczaj z obierzynami odrzuca się do kubia. Jarzyny należy płukać przed obieraniem, a po obieraniu lepiej już ich nie myć, a tym bardziej nie moczyć w wodzie na kilka godzin przed wstawieniem na ogień, takie moczenie bowiem wyjąławia je zupełnie z witamin. Jarzyny czy kartofle należy kłaść odrazu we wrzątek i gotować szczelnie przykryte (za wyjątkiem kapusty, brukselki, szpinaku). Gotować krótko, na ostrym ogniu i nie przegotowywać, przy czym gotowanie winno odbywać się w minimalnej ilości wody, która pozostaje w jarzynach jako sos. Jeżeli odwaru jest trochę za dużo — zostawmy go na zupe.

Pamiętajmy także, że niszczy witaminy przez: 1) odgrzewanie jarzyn, 2) przygotowywanie ich w postaci puree, 3) przez polewanie sałatek jarzynowych octem, który niszczy b. wrażliwą witaminę A.

Młode gosposie, które uczą się gotować z zamłowania lub... konieczności muszą zachować w pamięci tych kilka wskazówek, jeśli chcą zasłużyć na miano dobrych gospodyń.

Barbara



Popołudniowa sukienka z czarnej wełny. Kieszenie, ozdobione haftem na kanwie.

Kronika Młodzieży Świata



Francja. Zadanie wykonane! Proporczyki w górę!



Młodzież czechosłowacka buduje wzorowe osiedla dla górników.



Z. S. R. R. — Uczniowie radzieckich szkół oglądają statek. To, co dziś dla nich jest rozrywką — jutro może stać się codzienną pracą. Przecież co drugi chłopiec chce zostać marynarzem!



NA BOISKU PIŁKI NOŻNEJ

Podczas świąt reprezentacyjne drużyny Warszawy — Polonia i Legia — rozegrały kolejne mecze z piłkarską drużyną Czechosłowacji, SK Bałowny.

Bałowny — to doskonale zorganizowany, wytrenowany i zgrany zespół, którym na prawdę można się pościć. Na tie gry tej drużyny uwidoczniły się dopiero wszelkie braki w grze naszych piłkarzy, którzy wykazywali przez cały czas trwania meczu wyraźne braki kondycyjne. Tłumaczyć to należy do pewnego stopnia długotrwałą przerwą zimową; nie jest to jednak całkowitym usprawiedliwieniem.

Poszczególne drużyny wystąpiły w następującym składzie:

Bałowny: Valentovic, Zahorsky, Ulicny, Grelsky, Nagy, Stjhan, Jokl, Balas, Modory, Reiman i Beles.

Legia: Andrzejkiewicz, Wakaman, Grzędziel, Waśko, Szczurek, Krzymowski, Szafarski, Szymański, Górski, Cyganik, Mordarski, Polonia: Borucz, Wujek, Cierwotowski, Wolosz, Brzozowski, Jagodziński, Jaźnicki, Szczepaniak, Świecz, Szularz, Ochmański.

„Na pierwszy ogień” wystąpiła Legia. Mecz rozegrano 6 b. m. Wygrała drużyna słowacka z wynikiem 2:4. Przez cały przebieg gry piłkarze polacy zachowywali się „pieszale, niezdyscyplinowanie, w przeciwieństwie do gości, którzy grali spokojnie lecz z rozważą i inteligencją.

W następnej rozgrywce w poniedziałek do walki wystąpiła mistrzowska Polonia i. uratowała honor Polski i Warszawy. Mecz zakończył się wynikiem 2:0 na korzyść Polonii. Mimo zwycięstwa zarówno uczestnicy meczu jak i widzowie (w poniedziałek ok. 8 tys.) nie byli zadowoleni, gdyż braki polskich graczy wręcz odrobinie nastrojały.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Krzysztoporski Jan, Łęki; Augustyniak Mieczysław, Grudziądz; W. Sulewski, Krasnostaw; Wl. Janiak, Poznań; Ofreht Roman, Żyrardów. Nadesłanych materiałów nie wykorzystamy.

M. Zawistny, Stupsk. Honorarium wysyłamy pocztą.

Jerzy Wardecki, Gdańsk. Osoba, o którą Kolega pyta, jest speakerką Rozgłośni Poznańskiej. Imienia jej nie znamy. Należy zwrócić się wprost do Radia w Poznaniu.

UWAGA, SZARADZISCI!

W następnym numerze wprowadzamy stały dział rozrywek umysłowych i szarad z nagrodami!

SPSOSTOWANIE

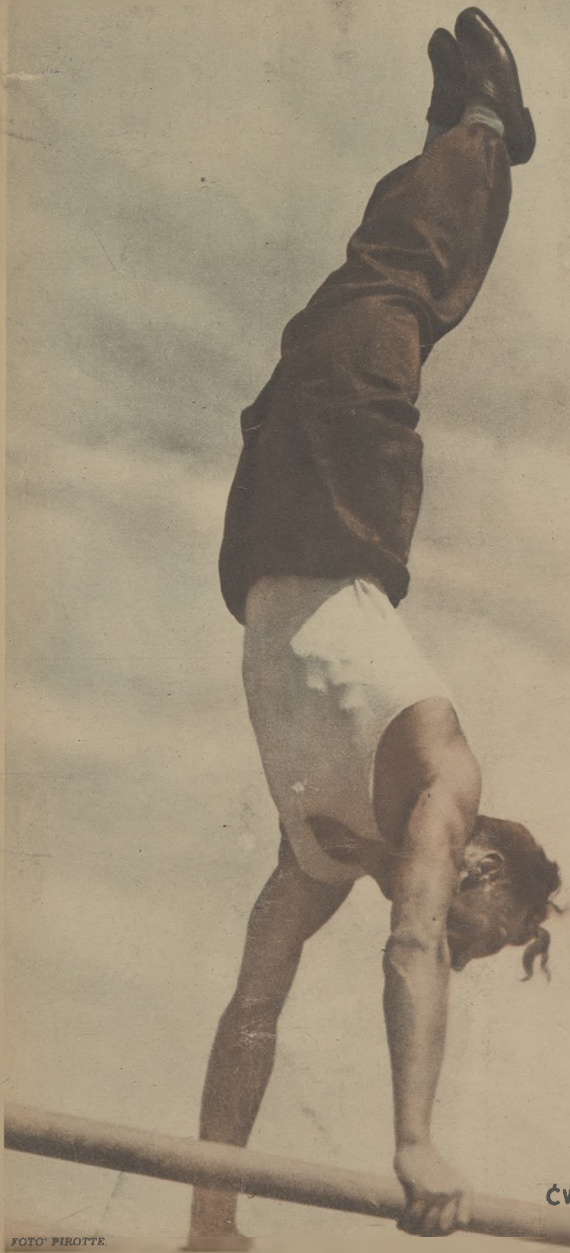
W numerze 7 (13) „Świata Młodych” podano mylnie nazwisko sutara opowiadania p. t. „Odeściele ojca”. Brzmi ono: Mieczysław Zawiany, a nie, jak wydrukowano Zawistny.

Redakcja rękopisów nie zwraca

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAWCA: SPÓŁDZ. *
WYD. „PEŁNIENIE”

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, ul. GRAZYNY 8. TEL. 8-51-32
PRENUMERAIA KWARTALNA ŻŁ. 225- — Z PRZESYŁKĄ DO DOMU
WŁĄCZĄC NA KONTA P. K. O. WARSZAWA, Nr 1-4252

Świat
MŁODYCH



ĆWICZENIA NA DRAŻKACH